

No więc, żebyście mnie z nim w żadnym wypadku nie mylili, postanowiłem porządnie się od niego odróżnić.

On swoją książkę nazwał „Zieloną księgą bajek”, moja będzie się nazywała „Błękitna”.

t

Ilustrował

Albin Brunovsky

Z języka słowackiego przełożyła

Ewa Kraszewska

Wydawło

Wydawnictwo „Śląsk”

v»v-

,*?:■•

V<

W

'«A

<&*£*

tra*2

&V

ŁV

**>•:* *■

"/Щг.тФ ■

\ i»"'>'

d» \° «'o' T.1 b\ 10°

*BI

,*!•**'

'•JM

-i. ^SSJ-

N_o

vo

iv w

^P?^

^

*>£•?>■

III2&Aï;JI

s\]

i>1

t\ c1

III5

nr

Y л/

W//

інгда

ЙУ

&&-'«

:-^

i*.-;

:#•■

IP

#.<?

s

l

śffiv:

rf§!8

?->

^лк

.>•"

ft\1

i Ji ^ ?. "Ч -

Ж

)7«Y* W .

Błękitna księga

bajek

Napisał Lubomir Feldek

ш

ш

ш

Tytuł oryginału Modra kniha rozpravok

© Mladć leta 1974

© Lubomir Feldek 1974

Illustrations © Albin Brunovsky 1974

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo „Śląsk"

Katowice 1984

ISBN 83-216-0534-6

BAJKI ZWIERZĘCE

O rybie Rebecce,

w

czyli o tym, jak zacząłem pisać pierwszą część „Błękitnej księgi bajek".

„Bajki zwierzęce"

czasach, gdy Olga nie była jeszcze obrazie wezbraną wodę. Czy nie wiesz, że moją żoną, mieszkała w domu, w którym ten obraz malował sławny malarz i że wisiał na ścianie obraz przedstawiający twoja wezbrana woda obraz sławnego marybę. Ryba leżała na piasku, tuż obok larza pozbawi wartości? I gdybyż to tylko niej płynęła woda, lecz ona chyba nie miała już siły rzucić się i skoczyć z piasku do wody. A pod obrazem było napisane, że ryba nazywa się Rebeka.

Oldze bardzo było żal ryby Rebeki. Często patrzyła na obraz i rozmyślała, dlaczego woda trochę się nie podniesie. A kiedy dni mijały, a woda się nie podnosiła, Olga postanowiła, że sama zadba o to, by woda się podniosła. Pewnego dnia, gdy jej rodzice poszli dokądś z wizytą, Olga rozrobiła niebieską farbę, umoczyła w niej

obraz! Kiedy twoi rodzice wrócą i zobaczą, że namalowałaś wezbraną wodę, zjeżą się twemu ojcu włosy na głowie i poprze-kłuwają mu kapelusz. A poprzekłuwany kapelusz też stanie się bezwartościowy.

— No dobrze — powiedziała Olga. — Ale jeśli nie namaluję na obrazie wezbranej wody, dalej będziesz się męczyła na łądzie!

— Ech, co mi tam — powiedziała ryba Rebeka. — Przynajmniej nie muszę się obawiać, że się utopię!

Tak więc Olga wezbranej wody na pędzel i z umocnionym pędzlem wskoczyła obrazie nie namalowała. I ryba Rebeka na sofę, by dosięgnąć do obrazu. Ale nim nadal męczyła się na łądzie. A czas płynął dotknęła pędzlem obrazu, nim zdążyła namalować choćby kropelkę wezbranej wody, naraz odezwał się jakiś głos:

— Nie rób tego!

Olga rozejrzała się, ale nie zobaczyła nikogo, kto mógłby przemówić.

— Co się tak rozglądasz? — odezwał się znowu głos. — To ja mówię!

I wtedy Olga spostrzegła, że na obrazie porusza się pyszczek ryby Rebeki.

— A to dopiero! — zawołała Olga. — A podobno ryby nie mówią!

— Podobno, podobno — roześmiała się ryba Rebeka. — Ja, jak widzisz, mówię. Naturalnie tylko, gdy chodzi o ważne rzeczy.

— A teraz chodzi? — zapytała Olga.

— Teraz chodzi — powiedziała ryba

i Olga podrosła, i naraz ja zacząłem odwiedzać ich dom. Wtedy zaszło następujące zdarzenie: Olga zachorowała. Przez cały dzień siedziałem przy niej i opowiadałem jej bajki. Sam je wymyślałem. Dzisiaj ich już nie pamiętam, ani Olga już ich nie pamięta, i już nigdy nikt ich nie napisze. Wiem tylko, że przy tych moich bajkach zapadł wieczór i wypadało już pójść. Otworzyłem drzwi.

— Dobranoc! — powiedziałem.

— Dobranoc! — powiedziała Olga. — Zgaś mi światło!

Zgasiłem, po cichu wyszedłem i zamknąłem za sobą drzwi. Olga leżała potem z otwartymi oczami i słuchała ciemności.

Rebeka.

Zamierzasz namalować na Ciemność szumiała. Szumiała tak, że od
BAJKI ZWIERZĘCE

« 12 »

jej szumu rozkołysały się meble. Rozkołysane meble zatrzeszczały. Trzeszczenie obudziło muszkę. Muszka zabręczała i usnęła znowu.

— Jesteś tu jeszcze? — zapytała Olga. Ale mnie już tam nie było.

— Słyszę, jak oddychasz — powiedziała Olga.

Potem roześmiała się i powiedziała:

— Teraz zacząłeś wstrzymywać oddech! Ale to wszystko tylko jej się wydawało.

Ona jednak nie wiedziała, że to wszystko tylko jej się wydaje.

— Ej, ty — zawołała. — Żeby ci tylko płuca nie popękały! Przestań już udawać, że cię tu nie ma, i oddychaj znowu porządnie! Proszę cię!

A po chwili powiedziała:

— No widzisz, jaki ty jesteś? Prosiłam cię!

I odkryła się, bo chciała wstać i boso podejść do drzwi.

— Nie rób tego! — przemówiła wtedy po raz drugi ryba Rebeka z obrazu.

— Dlaczego? Znowu chodzi o jakąś ważną rzecz? — zapytała Olga.

— Oczywiście — powiedziała ryba Rebeka. — Nie mogę patrzeć, jak zamierzasz złapać zapalenie płuc! Z gorączką chodzić boso do drzwi — widział kto kiedy coś podobnego?

- Ale kiedy jemu płuca popękają! — powiedziała Olga.
- Nie ma go tam — powiedziała ryba Rebeka.
- Nie ma? — zdziwiła się Olga. — Więc jak to możliwe, że słyszałam jak oddycha?
- Siebie słyszałaś — powiedziała ryba Rebeka.
- Nie, jego! — powiedziała Olga. — Wiem na pewno, że to był jego oddech!

O rybie « 1

— To był twój — powiedziała ryba Rebeka. — Wasze oddechy są bardzo podobne. Następnego dnia przyszedłem znowu i Olga opowiedziała mi obie swoje przygody z mówiącą rybą Rebeką.

— To rzeczywiście bardzo interesujące — powiedziałem wysłuchawszy opowieści Olgi — ale uwierzę w to dopiero, gdy usłyszę rybę Rebekę na własne uszy!

— No to słuchaj! — powiedziała Olga. I znowu chciała wstać i boso iść do drzwi, żeby zmusić rybę Rebekę do mówienia.

— Nie rób tego! — powiedziałem. — Nie mogę patrzeć, jak zamierzasz złapać zapalenie płuc! Z gorączką chodzić boso do drzwi — widział kto kiedy coś podobnego? Powiedz mi, gdzie są akwarele!

— W sekretarzyku — powiedziała Olga.

Otworzyłem sekretarzyk, wyjąłem farby i rozrobiłem niebieską. Umoczyłem w niej pędzel, z umoczonym pędzlem wskoczyłem na sofę i zacząłem na obrazie malować wezbraną wodę. Malowałem, malowałem, a woda podnosiła się i podnosiła, a ryba Rebeka — nic. Podniosła się woda rybie Rebecie po ogon, podniosła się po pas, a po głowę podnosić się już nie musiała, bo ryba Rebeka zatrzepotała się i plusk! — zniknęła cała pod wodą. Ja i Olga oczekiwaliśmy, że jeszcze się wynurzy i jednak coś powie, ale czekaliśmy na próżno. Nie wynurzyła się. Nie było jej już na obrazie. Wszędzie tylko woda, woda i woda.

— No tak — powiedziała Olga. — A wiesz, co narobiłeś? Ten obraz malował sławny malarz a twoja wezbrana woda obraz sławnego malarza pozbawiła wartości! I gdybyż to tylko obraz! Kiedy przyjdą moi rodzice i zobaczą, że namalowałeś

Rebecę

3»

na obrazie wezbraną wodę, zjeżą się mojemu ojcu włosy na głowie i poprzekłu-wają mu kapelusz. A poprzekłuwany kapelusz też będzie bezwartościowy!

I rzeczywiście — zaledwie Olga skończyła to mówić, otworzyły się drzwi i w progu stanęli rodzice Olgi. I zaledwie rodzice Olgi zobaczyli pozbawiony wartości obraz, zjeżyły się ojcu Olgi włosy na głowie i po-przekłowały mu kapelusz.

— No tak! — zawołał ojciec Olgi. — A poprzekłuwany kapelusz też jest bezwartościowy!

— Nie! — zawołałem. — Nie! Dlaczego miałby być? Stał się wspaniałym sitem i można go używać w kuchni!

BAJKI ZWIERZĘCE

« 14 »

— A po co nam ono? — zawołała mama Olgi. — Jedno już przecież mamy!

Wtem zdarzyła się osobliwa rzecz. Woda na obrazie zafalowała, a z wody wychyliła głowę ryba Rebeka. I powiedziała:

— Tak, wy sito macie, ale oni będą potrzebowali drugiego! Przecież się pobiorą!

I zaledwie ryba Rebeka skończyła to mówić, zafalowała woda na obrazie po raz drugi i już ryby Rebeki nie było.

Uwierzyłem więc, że ryba Rebeka przemawia naprawdę tylko wtedy, gdy chodzi o ważne rzeczy.

A wkrótce potem odbyło się wesele moje i Olgi.

Zaraz po weselu z wdzięczności dla mówiącej ryby Rebeki zabrałem się do pracy i zacząłem notować prawdziwe zdarzenia z życia zwierząt. Codziennie notowałem jedno. I tak stopniowo powstały te bajki zwierzęce.

O wężu Wirginiuszu

Łjy\ raz pewien baca — dwa razy żyć nie mógł — i ten baca gdzie się nie ruszył, tam się pragnieniem pieniędzy zadreęczał. Doszły go na przykład słuchy, że pewien Szwed zostawił wiele pieniędzy, z których co roku wypłacają jakąś część temu, kto wymyśli coś takiego, czego jeszcze nie było. No więc i nasz baca powiedział sobie, że wymyśli coś takiego, czego jeszcze nie było, i że wymyśli to szybko, zanim pieniążki pozostawione przez Szweda zupełnie się rozejdą.

Ale co by tu takiego? Zaczął nasz baca mocno mrużyć oczy — a nuż uda mu się zmrużyć je tak mocno, że zacznie widzieć potylicą? Ale nie zaczął widzieć. Zaczął nasz baca oczy mocno wytrzeszczać — a nuż uda mu się wytrzeszczyć je tak mocno, że naokoło okrągłego świata swoją potylicą dojrzy? Ale nie dojrzał. Tyle tylko z tego miał, że sobie z oczu fontannę łez wycisnął. Spływały mu łzy po policzkach, broda mu od nich przemokła do suchej nitki. Co miał baca robić? Musiał brodę przez lipowy konar przewiesić i pod tym konarem stać i czekać, aż mu ją słońce wysuszy. Tymczasem przyszedł niedźwiedź i uraczył się trzema najtłuściejszymi owcami.

Tak to bywa, kiedy ktoś jest pazerny na pieniądze.

Zamiast korzyści — strata.

Wkrótce potem przyszła jesień, a jesienią, jak wiemy, wszystkie węże wpełzają do wnętrza skały, by ułożyć się do snu zimowego. Pasię nasz baca swoje stado, pasię, aż tu naraz słyszy z gęstwiny wielkie syczenie. Odsuwa gałąź i co widzi? Tysiące węży pełzną ku jednej skale. A prowadzi je stare siwe wężysko — wąż Wirginiusz. Bierze wąż Wirginiusz do pyska jakieś ziele, pociera nim skałę, skała otwiera się i węże jeden za drugim znikają w skałę. Za ostatnim wężem skała zagrzmiała i znów wszystko jest jak przedtem. Skała zamknięta. Węży ani śladu.

— Ho, ho! — mruknął pod nosem nasz baca. — To dopiero osobliwość. O czymś takim jeszcze ani w gazecie nie czytałem, ani w radiu nie słyszałem, na pewno dla-

O wężu Wirginiuszu

« 15 »

tego, że nie miał kto do gazety o tym napisać a w radiu opowiedzieć. Na pewno jestem pierwszym na świecie człowiekiem, który dzięki temu, że od lat uważnie obserwuje przyrodę, naraz ujrzał, jak węże zielem otwierają skałę. A jeśli stoję u progu brzemiennego w skutki odkrycia? Jeśli przy pomocy tego ziele ludzkość dostanie się aż do samego środka ziemi i wreszcie zostanie sprawdzone, czy znajduje się tam ogień czy też woda, a ja dostanę pełen kapelusz tych pieniędzy, które zostawił Szwed?

Nie zwlekając zostawił baca stado na łasce losu i dalejże do skały. Ale któreż to ziele jest tym, co s'..ałę otwiera? Pod skałą ziół rosło mnóstwo, a każde było inne.

— Chyba to będzie płucnica lekarska — mruknął do siebie baca.

Zerwał płucnicę lekarską, potarł nią skałę — i nic.

— Czyżby mięta pieprzowa?

Zerwał mięte pieprzową, potarł nią skałę — i znowu nic.

Zrywał baca ziele, lecz skała,

BAJKI ZWIERZĘCE

« 16 »

czy pocierał ją pokrzykiem wilczą jagodą, czy skalnicą ziarenkowatą, czy ślazurem drobnokwiatowym — nie otwierała się i nie otwierała. Posmutniał nasz baca, rozgniewał się, kopnął nogą ot tak na chybił trafił w gęszcz roślin, aż tu dziw nad dziwy! Jakieś ziele, kopnięciem z ziemi wyrzucone, poleciało, samo się o skałę otarło, i skała — otwarta.

— A więc to ty! — wykrzyknął bacia przyjrzawszy się ziołu. — Teraz pozostało już tylko podnieść cię z ziemi, zanieść na pocztę i wysłać do Szwecji!

Ale że bacia miał naturę badacza, zanim podniósł ziele, zajrzał do otwartej skały. Gdybyż tylko zajrzał — ale on także wszedł. A zaledwie wszedł, za jego plecami rozległ się łoskot i skała znowu była zamknięta.

— Masz ci los! — pomyślał bacia. — Różne rzeczy były mi potrzebne, ale to najmniej ze wszystkiego. I co teraz?

Otóż to — co teraz? Wewnątrz skały znajdowała się jaskinia. W jaskini wszędzie, gdzie tylko bacia spojrział, leżały węże. Leżały i spały. Pośrodku jaskini leżał okrągły kamień, na okrągłym kamieniu tylko jedno stare wężysko — wąż Wirginiusz. I wąż Wirginiusz także leżał i spał.

Nic dziwnego, że i nasz bacia poczuł się senny. W ciemności znalazł pomiędzy węzami kawałek wolnego miejsca, położył się i spał, spał, dopóki się nie przebudził.

Zbudziwszy się zobaczył, że węże już wstały. Z zewnątrz dobiegał śpiew skowronka i przy wtórze tego śpiewu węże roz-pełzały się. A zaledwie skończyły się roz-pełzać, już pod wodzą węża Wirginiusza zaczęły pełznąć ku skale, skała się otworzyła i węże, jeden za drugim, wypełzły ze skały na zewnątrz.

— Tam do licha! — pomyślał bacia. — W różnych momentach zdarzało mi się obudzić, ale w takim właściwym jak teraz, jeszcze nigdy! Dalej za nimi, bo mnie tu zostawią!

Zaledwie to bacia pomyślał, położył się na brzuchu i zaczął pełznąć za węzami. Ale szczęście mu nie dopisało. A może nie tyle szczęście, co głowa. Nasz bacia nie umiał pełzać. Pełznąć o coś się zaczepił i zanim się z tego czegoś wyplątał, po węzach dawno nie było śladu, a skała — znowu zamknięta.

Nie pozostało bacy nic innego, tylko się odezwać.

— Wypuście mnie, dziatki, wypuście, pókim dobry! — zawołał.

— Akurat! — dał się słyszeć z zewnątrz głos starego węża Wirginiusza. — Wypuśś-cimy cię, jeśśli trzykrotnie przysię-gnieszysz, że nikomu nawet nie piśś-nieszysz o tym, co wieszysz!

Żał było bacy przysięgać. Ale co miał robić? Przysięgnął i węże go wypuściły.

Szedł bacia do domu, szedł przez dolinę, szedł przez buczynę i zauważył, że jest już wiosna.

Trach! — trzasnęło gdzieś jak wystrzał — a to ze starej gałęzi wystrzelił młody listek. I znowu trach! — drugi. Radował się nasz bacia.

Radował się, radował, dopóki nie doszedł do tego miejsca, gdzie jesienią zostawił stado. Na tym miejscu przestał się radować i posmutniał, bowiem zamiast stada walało się tam tylko mnóstwo szkielecików. Usiadł nasz bacia przy szkielecikach i bez słowa siedział nad nimi trzy dni i trzy noce. A gdy zaświtał czwarty dzień, a bacia od szkielecików wciąż jeszcze nie wstawał, odezwało się naraz za jego plecami syczenie. Obejrzał się bacia i zobaczył węża Wirginiusza.

O wężu Wirginiuszu

« 17 »

— Szszszkieleciki pasieszysz, szszszkie-leciki? — syczał wąż Wirginiusz.

— Ech, gdzie tam pasę — odpowiedział bacia. — Pasłem je, dopóki były owcami. Ale teraz, gdy są zaledwie szkielecikami, siedzę tak tylko przy nich i smucę się.

— A dlaczego myśśliszysz, że to były owce? — zasyczał wąż Wirginiusz.

— A nie były? — zapytał bacia.

— Oczywiścieście, że nie! To wczoraj pierwsi wiosssenni wycieczkowicze ogryzali tutaj kurze udka! — zasyczał wąż Wirginiusz.

Słyszając to uradował się nasz bacia, zerwał się, ucałował węża Wirginiusza prosto w pysk i popędził na szafas. Ech, jak on pędził, jak pędził! Co górę przekroczył, dolinę przeskoczył! Widział to taki jeden, co pieśni układał, zaraz o tym pieśń ułożył — do dzisiaj ją śpiewają. A

w zagrodzie przy szałasie znalazł bacia swoje stado żywe i zdrowe, nawet już o jedno, drugie jagnię pomnożone. Nic dziwnego, że tego dnia przysięgał po raz czwarty. Przysięgał sobie, że przestanie pragnieniem pieniędzy się zadrećcać, że przestanie o głupstwach rozmyślać, a zamiast tego zacznie porządnie dbać o swoje stado. I rzeczywiście dbał. I opłaciło mu się. Sprzedaż wełny i sera owczego szła dobrze i pieniądze wprost się bacy sypały.

Bo z pieniędzmi często tak bywa: kto się za nimi nie ugania, za tym one same zaczynają się uganiać.

A co? Może bacia mimo wszystko nie powinien dotrzymać przysięgi, którą złożył przed wężami i dla dobra ludzkości oraz postępu nauki mimo wszystko powinien ziele otwierające skałę wysłać do tej Szwecji?

No cóż, może i powinien. Ale bacia nie należał do tych, którzy dziś przysięgają, a jutro już o przysiędze nie pamiętają. Dotrzymywał przysięgi, dotrzymywał i myślał: dotrzymuję przysięgi, dotrzymuję, na coś tam musi się to przydać.

W

O niedźwiedziu Medardzie

stolicy Szwajcarii, mieście zwanym Zurych — czytaj curych — mieszkał raz inżynier Hans Schwibalka, którego nazwisko na wsze czasy zapisało się w szwajcarskiej historii. Inżynier Hans Schwibalka w roku niewiadomoktórym skonstruował Szwajcarom sztucznego niedźwiedzia.

A właściwie — zrobił coś innego, ale nie uprzedzajmy faktów.

Pamiętny czyn poprzedzały wydarzenia nie mniej pamiętne. Pokróćce je opowiem. Szwajcaria była zawsze krajem obfitującym w niedźwiedzie. Szwajcarzy tak sobie niedźwiedzie upodobałi, że stolica Szwajcarii, Zurych, miała nawet niedźwiedzia w herbie. Niedźwiedzie jednak, nie wiadomo dlaczego, nie upodobały sobie Szwajcarów. Jak było, tak było, grunt że pewnego słonecznego poranka Szwajcarzy odkryli, że

BAJKI ZWIERZĘCE

« 18 »

w ich kraju po niedźwiedziach nawet ślad — Szwajcarzy, Szwajcarzy, kiedy wresz- nie pozostał. Przekroczyły, huncwoty, gran- cie umieścicie w herbie pchłę zamiast niedź- nicę i rozlokowały się w sąsiednich kra- wiedzia? Pchły są wam wierniejsze!

jach. Z sąsiednich krajów przyjeżdżali do Wściekali się Szwajcarzy, i gdybyż to Szwajcarii turyści, zatrzymywali się w Zu- tylko Szwajcarzy, wściekały się także szwaj - rychu pod herbem miasta i wykrzykiwali: carskie pchły, gryzły turystów, gdzie tylko

O niedźwiedziu Medardzie

« 19 »

się dało — ale co z tego? Turyści mieli rację. Niedźwiedzi w Szwajcarii nie było. W tym czasie przywędrował do Szwajcarii młody człowiek z jakiegoś wschodniego kraju. Przywędrował, zatrzymał się w Zurychu na rynku i słuchał, o czym rozmawiają Szwajcarzy. Języka szwajcarskiego ten młody człowiek nie znał, ale że był bystry, zrozumiał z gestów, czym martwią się Szwajcarzy. A skoro zrozumiał, zaczął i on gestykulować, a z jego gestów z kolei Szwajcarzy zrozumieli, że chętnie im pomoże w ich zmartwieniu, tylko muszą mu dać warsztat i wikt. Uradowali się Szwajcarzy, dali młodemu człowiekowi warsztat i wikt. Młody człowiek wywiesił na drzwiach warsztatu tabliczkę:

Inżynier Hans Schwibalka

ażeby pozyskać przychylność Szwajcarów, bo Szwajcarzy zawsze lepszy wikt temu dają, kto swoje nazwisko według ich pisowni pisze. Ale przed wami nie muszę niczego ukrywać — Hans Schwibalka był właściwie Janem Schwibalką, rodem z Diet-wy, Słowakiem z krwi i kości.

Trzy lata i trzy dni pracował Jano Szwiwalką od świtu do zmierzchu i od zmierzchu do świtu, a Szwajcarzy daremnie zezowali pod warsztatem — nie wiedzieli, co się w środku dzieje. Nawet kiedy drogiemu inżynierowi podawali strawę przez okienko, nie udawało im się nic dojrzeć, bo Jano Szwiwalką zawsze im akurat wtedy wydmuchiwał w oczy taką chmurę dymu, że przez godzinę musieli mrugać, zanim ten dym z oczu wymrugali. Ale po trzech latach i trzech dniach Jano Szwiwalką nagle z warsztatu wyszedł, drzwi za sobą nie zamknął i widzą Szwajcarzy, że na ramię ma zarzuconą torbę, w ręku kij, i kieruje się na wschód.
bajki z

— Dokąd to, dokąd? — rozkrzyczeli się za nim.

A on do nich ot, tak przez ramię:

— Do domu, chłopcy.

— A co z robótką, dla której przez trzy lata i trzy dni cię utrzymywaliśmy? — krzyczeli Szwajcarzy.

A on znowu do nich ot, tak przez ramię:

— Robótka gotowa.

I naraz za plecami Szwajcarów odezwało się:

— Brum, brum.

Obejrzeni się Szwajcarzy i ujrzeli stojącego w progu warsztatu niedźwiedzia. A ten niedźwiedź — wiercie albo nie wiercie — na pierwszy rzut oka wyglądał jak żywy. Gdybyż tylko na pierwszy! I na drugi, i na sto trzeci. Gdyby Szwajcarzy nie weszli do warsztatu i nie znaleźli na podłodze ze dwóch wozów drabiniastych żelaznych wiórków, może by nawet nie uwierzyli, że im tego niedźwiedzia inżynier Hans Schwibalka wystrugał z żelaza.

Wielka była radość Szwajcarów, że mają znowu w Zurychu niedźwiedzia, nie tylko herbowego, ale i żywego. A byłaby ta radość jeszcze większa, gdyby Medard — tak niedźwiedzia nazwali — nie był smutny.

— Co ci jest, Medardzie? — wypytywali go. — Dlaczego jesteś taki smutny?

— Dlatego jestem taki smutny — odpowiedział niedźwiedź Medard — bo jestem sierotą.

Każde zwierzę, i to najmniejsze, i to największe, ma jakiegoś ojca i jakąś matkę. Weźmy na przykład choćby taką żołą. Zrobi sobie taka żołą krzywdę, już ojciec z matką są przy niej i szczebiocą a szczebiocą: „Nie płacz, nasza żołą zielona, uspokój się, merops viridis!” Ale kiedy ja sobie zrobię krzywdę, kto mi będzie szczebiotał a szczebiotał?

« 20 »

ZJHI

ВН

— My! — jednym głosem zawołali Szwajcarzy.

— To nie wystarczy — pokręcił głową niedźwiedź Medard. — Matka jest tylko jedna.

Zrozumie to dopiero ten, kto ją stracił. A nawet i on nie zrozumie tego tak dobrze, jak ten, kto nigdy w ogóle nie miał żadnej matki, a kimś takim jestem ja.

Dziwili się Szwajcarzy, oj, dziwili. Zdawało im się, że niedźwiedziowi wystruganemu z żelaza coś takiego jak matka nie powinno w ogóle przyjść do głowy. I oto, co się okazało! Przychodzi mu do głowy podwójnie. I niedźwiedź Medard smuci się. I niedźwiedź Medard nie je. I niedźwiedź Medard marnieje. Co będzie, jeśli pewnego pięknego dnia zdechnie i Zurych znowu zostanie bez niedźwiedzia? Wystraszyli się mili Szwajcarzy. I ze strachu, jak to często w strachu bywa, wpadli na dobry pomysł: wyślą delegację do inżyniera Hansa Schwi-balki z prośbą, żeby przyszedł raz jeszcze, że dadzą mu warsztat o wiele ładniejszy i wikt o wiele lepszy, a do tego jeszcze węzełek dukatów, byle tylko wystrugał im z żelaza dla niedźwiedzia Medarda jeśli już nie ojca, to przynajmniej matkę. W dwa tygodnie potem delegacja znalazła się na Dietwie.

Wysłuchał Jano Szwabalka słów prośby szwajcarskiej delegacji, popił sobie żętycy, łypnął okiem na wysoką dziką Polanę i powiedział:

— Ja tam, chłopcy, z Dietwy się już nie ruszę. Dwa razy do Szwajcarii i dwa razy z powrotem — to mi już, jeśli chodzi o zagraniczną turystykę, do śmierci wystarczy.

— Jak to dwa razy do Szwajcarii i dwa razy z powrotem? — zawołała szwajcarska delegacja. — Przecież pan do nas, panie inżynierze, raz tylko raczył zawitać, a i od nas do domu raz tylko raczył pan wrócić!

O niedźwiec

— Ha, ha! — roześmiał się Jano Szwabalka. — A wy co myślicie, że ten słowacki niedźwiedź wam w Szwajcarii z nieba spadł? Ja sam musiałem jednej nocy skoczyć do Słowacji, niedźwiedzia w lesie złapać i z niedźwiedziem na ramieniu do Zurychu wrócić, i to jeszcze przed świtem, żebyście niczego nie zauważyli!

— A więc on nie jest wystrugany z żelaza? — zawołała szwajcarska delegacja.

— A więc bynajmniej nie jest — roześmiał się Jano Szwabalka. — Za darmo żyłem, chłopcy, trzy lata i trzy dni na waszym wikcie.

Myślał Jano Szwabalka, że tymi słowami Szwajcarów zirytuje. Ale nie zirytował, Szwajcarzy bowiem, chociaż mają też i swoje wady, pod jednym względem nas przewyższają, pod tym mianowicie, że wiedzą, ile kto jest wart, wiedzą zatem, że zuch, który potrafi w ciągu jednej nocy skoczyć ze Szwajcarii do Słowacji, złapać w lesie niedźwiedzia i jeszcze przed świtem wrócić z nim do Szwajcarii, nie żył trzy lata i trzy dni darmo na ich wikcie. A poza tym Szwajcarzy co innego mieli teraz w głowie.

— A więc ma matkę! — zawołali.

— A więc owszem, ma — potwierdził Jano Szwabalka. — Rzućcie ten węzełek dukatów do przedsionka, to wam ją chętnie złapię.

Rzucili Szwajcarzy węzełek dukatów do przedsionka, a Jano Szwabalka jeszcze tego samego dnia złapał starą niedźwiedzicę. Nawet się bardzo nie opierała, bo bardzo tęskniła za synem, niedźwiedziem Medardem. Jeszcze tego samego wieczora odjechała koleją ze szwajcarską delegacją i po dwóch tygodniach byli już w Zurychu. Dlaczego nie prędeż? Ano dlatego. Jano Szwabalka to był Jano Szwabalka. Ale pociąg — to był tylko pociąg.

iu Medardzie

« 23 »

O kaczi

Była raz pewna kacza rodzina. Ojciec — kaczor Donald. Matka — kaczorowa Donaldina. I córka — kaczką Kaśka. Kaczor Donald i kaczorowa Donaldina bardzo się bali, żeby ich jedynej córce, kaczkę Kaśkę, coś się nie stało, ale byli bardzo rozsądni i wiedzieli, że najlepiej uchronią ją przed niebezpieczeństwami ucząc ją samodzielności. Zanosili ją na przykład na środek potoku, wracali na brzeg i patrzyli. Kaczką Kaśka zaczęła na środku potoku wołać ratunku.

— Nie bój się! — zawołali z brzegu rodzice. — Jesteśmy w pobliżu, nic ci się stać nie może. Skoro kaczką Kaśka usłyszała, że jej rodzice są w pobliżu i nic jej się stać nie może, przestała wołać ratunku, a zaczęła poruszać łapkami. Ani się obejrzała, a już i ona była na brzegu. I umiała już pływać. O wiele wcześniej niż inne kaczki w jej wieku. Ten i ów mówił, że rodzice kaczki Kaśki potrafią bardzo dobrze wychowywać i że powinni napisać książkę „O sztuce wychowania”, a żeby i inni mogli korzystać z ich doświadczenia.

Łatwo odgadnicie, co było dalej. Kaczor Donald i kaczorowa Donaldina rzeczywiście zabrali się do pisania książki. Czystego papieru lata w powietrzu pod dostatkiem, niejedna kropla atramentu płynie w potoku. Piórko im podarowała gąska Gośka. Rybka-nożyk przypląnęła i piórko im zaostrzyła.

Mieli wszystko, co im było potrzebne. Kaczor Donald powiedział, że będzie dyktował, kaczorowa Donaldina, że będzie pisała. Założył kaczor Donald skrzydła na plecy, zaczął przechadzać się i dyktował:

bajki z

e Kaśce

— Nie ma chyba piękniejszego zadania na tej ziemi, niż wychowywanie dzieci...

A kaczorowa Donaldina usadowiła się na płaskim kamieniu, na drugim, chropowatym, położyła papier i pisała:

N'e ma ckY'ba Pi?knieJszeS° Z4ania "a tej ziemi, niż wyCh0wywanie dziecL

O Kaczce Kaśce zapomnieli zupełnie.

Kaczka Kaśka pływała tymczasem tam i z powrotem po potoku. Kiedy płynęła w górę, patrzyła w lewo. I co tam widziała? Taką dziwną dziurę. Kiedy płynęła w dół, patrzyła w prawo. I co tam widziała? Tę samą dziurę. Podpłynęła do dziwnej dziury zupełnie blisko i zobaczyła, że dziura prowadzi do jakiegoś korytarza pełnego wody. Korytarz jak korytarz, pomyślała, odpływam stąd. Ale wiecie, jak to bywa. Co innego kaczka pomyśli, a co innego zrobi. Tak samo było z kaczką Kaśką. Sama nie wiedziała, jak znalazła się w korytarzu. Płynęła korytarzem, płynęła, aż dopłynęła do takiego miejsca, od którego prowadziły cztery korytarze, każdy w innym kierunku. W tym miejscu był wir. Ten wir zaczął kaczkę Kaśkę kręcić w kółko. Z wielkim trudem kaczka Kaśka znowu się zatrzymała. Ale kiedy się zatrzymała, nie wiedziała już, którym korytarzem przy płynęła. Inna kaczka na jej miejscu już by się okropnie przeraziła. Kaczka Kaśka powiedziała sobie jednak:

— Jestem kaczka Kaśka, od małości moi rodzice wychowywali mnie na osobę samodzielną, teraz nawet o tym, jak mnie

« 24 »

B

wychowywali, książkę piszą, nie mogę narobić im wstydu, muszę sobie poradzić sama.

Popłynę, popłynę i gdzieś tam w końcu dopłynę.

Płynęła kaczka Kaśka, płynęła, płynęła jednym z czterech korytarzy i dopłynęła aż do jego końca. A na końcu nad tym korytarzem znajdował się jakiś komin. Co dalej? Zawracać, czy pójść w górę kominem? Zdecydowała się kaczka Kaśka, że pójdzie w górę kominem. Szła kaczka Kaśka w górę kominem, szła, szła, szła, aż tu nagle komin się zwęził. Nie był to już komin, tylko taka wąziuteńka rurka. Gdyby kaczka Kaśka była większa, pewnie by się przez taką wąziuteńka rurkę nie przecisnęła. Ale kaczka Kaśka była jeszcze malutka i prze-ciśnięcie się przez taką wąziuteńka rurkę to był dla malutkiej kaczki Kaśki drobiazg. No więc szła, szła, szła wąziuteńka rurką dalej pod górę. Aż tu — co to? Już i w górę wąziuteńka rurką iść się dalej nie da. Zatkana jest jakąś zatyczką. Podniosła kaczka Kaśka zatyczkę głową, i chlust!

— zaczęła jej się lać na głowę woda. Byłaby ta woda ■ jak nic zmiotła ją na dół, rurką i kominem, byłaby kaczka Kaśka pod naporem wody spadała, spadała i na dnie komina może nawet by się zabiła, gdyby nie chwyciła się zatyczki. Lecz na szczęście kaczka Kaśka zatyczki się chwyciła, a znów zatyczkę uchwyciła czyjaś ręka i razem z kaczką Kaśką uniosła ją ta ręka ponad wodę. I wtedy kaczka Kaśka zobaczyła, że znajduje się w jakimś zupełnie małym jezioru i że w tym jezioru siedzi jakaś goła dziewczynka i że ta goła dziewczynka trzyma ją w ręce, że ją ogląda, śmieje się i woła:

— Ojejeej! Moja kaczka-kwaczka! Ileż jej się naszukałam! A ona była schowana w wannie pod zatyczką!

Na pewno już odgadliście, co się stało. Korytarz, do którego wpłynęła kaczka Kaśka, nie był żadnym korytarzem, tylko miejską rurą kanalizacyjną uchodzącą do potoku. I kaczka Kaśka wędrowała tą rurą, wędrowała, aż przywędrowała do rury

O kacze Kaśce

« 25 »

pewnego domu i rurą tego domu wspięła się aż do rury pewnego mieszkania. Ale — cóż wiedziała kaczką Kaśką o rurach? Cóż wiedziała o mieszkaniach?

— Nie wstyd ci? — krzyknęła na dziewczynkę. — Kąpać się w jeziorcu na golasa! A jeżeli będą tędy przechodzili chłopcy?

— Ojejeeeej! — zawołała dziewczynka po raz drugi. — Ta moja kaczką-kwaczką przez ten czas, gdy była schowana, ożyła! I mówi głupstwa, bo nie wie, że wanna to nie jeziorco, a jeziorco to nie wanna!

Ale — cóż kaczką Kaśką wiedziała o wannach?

— Założże kąpielówki! — krzyknęła po raz drugi na dziewczynkę. — A może ci je jakiś chuligan schował? Rozejrzę się za nimi na brzegu!

I zaledwie kaczką Kaśką to powiedziała, smyk! — wysmyknęła się dziewczynce z ręki i wyskoczyła na posadzkę łazienki. W posadzce łazienki znajdowała się okrągła kratka. I kaczką Kaśką spadła prosto na tę kratkę. I gdybyż tylko na nią — ale i przez nią. Spadała i spadała. Najpierw wąziuteńką rurką. Potem kominem. A na dnie komina kaczką Kaśką nie zabiła się, tylko chlup! — chlupnęła do wody i woda zaczęła ją unosić.

— Ach, jakaż ja jestem niemądra! — zawołała kaczką Kaśką zauważywszy, że woda ją unosi, tym samym korytarzem, którym niedawno dopłynęła do komina, i że ją unosi akurat w odwrotnym kierunku.

— Ach, jakaż ja jestem niemądra! Gdybym od razu pozwoliła wodzie, by mnie uniosła, a nie płynęła pod prąd, w ogóle bym nie zabłądziła, tylko woda zaniósłaby mnie z powrotem do potoku!

Teraz już mądrzejsza była kaczką Kaśką — pozwoliła wodzie, by ją unosiła, i woda zaniósł ją z powrotem do potoku.

Zaledwie kaczką Kaśką znalazła się znowu w potoku, zaczęła płynąć i dopłynęła do brzegu. A zaledwie dopłynęła do brzegu, wybiegła z wody i zaczęła się kręcić pomiędzy krzaczkami i szukać kąpielówek dziewczynki.

— Są tutaj! — zawołała radośnie, gdy za jednym z krzaczków rzeczywiście znalazła jakieś kąpielówki. Cap! — capnęła je dziobem i hajda w drogę powrotną.

— Hej! — rozległo się naraz za nią. — Zostawisz to, złodziejko!

I naraz kaczką Kaśką poczuła, że trzyma ją silna ręka. Biada! Kąpielówki, które trzymała w dziobie, nie należały do gołej dziewczynki, należały one do pewnego staruszka. Staruszek był już ubrany, tylko kąpielówki chciał trochę podsuszyć na trawie. I o mały włos byłby je stracił. Co wam będę dalej opowiadał? Zatargał staruszek kaczką Kaśką do rodziców i opowiedział im, jaką mają niewydarzoną córkę. Opowiedział, pokrzyczał i poszedł. Zaklął na tę wieść kaczor Donald, zapłakała na tę wieść kaczorowa Donaldina. Przeszli pisać książkę „O sztuce wychowania” i do dziś do pisania nie powrócili.

BAJKI ZWIERZĘCE

« 26 »

Na

O komarce Waldemarce

ladeszło lato. Dzieci otrzymały światy zegarów. Dzieci zaczęły pragnąć, żeby wskazówki i wskazówki wszystkich zegarów obracały się jak najwolniej, świata przyspieszyły swój bieg. Dopóki a wskazówki, jak na złość, zaczęły się trwać rok szkolny, obracały się powoli, kręcić na sto dwa. Raz—dwa było po pierwszym wolniej, im bardziej dzieci pragnęły, w każdym dniu wakacji. Raz—dwa było i po żeby obracały się prędzej. A teraz — przede drugim.

O komarce Waldemarce

« 27 »

— Oj, źle! — pomyślały dzieci. — Ani się obejrzymy, jak będzie koniec wakacji. Używajmy ich, póki czas!

I zaraz pobiegły dzieci nad rzeki używać wakacji. Była to chwila, na którą czekały wszystkie komary świata. Wśród nich także komar Waldemar.

Komar Waldemar miał w naszym mieście siedzibę w krzakach nad Wagiem. Dopóki świeciło słońce, przycupnął w swojej kryjówce i przez szparkę pomiędzy dwoma listkami przyglądał się, jak dzieci uwijają się na brzegu albo chlapią się w wodzie, jak słońce opala im to brzuszki, to plecy. Przyglądał się komar Waldemar, przyglądał się i zrzędził:

— Diabli nadali słońce. Każdemu skórę rozpalili i porządny komar, o ile nie chce sobie nóg poparzyć, nie może na nikim usiąść. Ale ja poczekam, poczekam...

I komar Waldemar poczekał. Zaledwie słońce zaszło za wzgórze, zaledwie ochłodziło się powietrze i zaledwie ochłodzone powietrze ochłodziło skórę na plecach i brzuszkach dzieci, bzzz! — wyleciał komar Waldemar ze swojej kryjówki i dalejże siadać na dzieciach! Temu usiadł na brzuszku, temu na plecach, wbił ssawkę w skórę, pociągnął sobie słodkiej krwi dziecięcej i zanim jedno dziecko zdążyło się przed nim opędzić, bzzz! — odlatywał i już siedział na innym.

Cóż miały dzieci robić? Ubierały się i rozgniewane szły do domów. Po drodze jednak zawsze złość im mijała. Spostrzegały, że słońce już za wzgórzami, zapada zmierzch, w domu rodzice zaczynają się bać, czy dzieci się nie potopiły. Najwyższy czas wrócić do domu i uspokoić rodziców. Niektóre dzieci były nawet komarowi Waldemarowi wdzięczne, że swoim kluciem zwrócił im uwagę, że już powinny wracać.

bajki z

Komar Waldemar tymczasem siedział w swojej kryjówce, patrzył jak wschodzą gwiazdy i było mu słodko na duszy. Jeszcze by nie — opił się porządnie krwi dziecięcej, a krew dziecięca, jak powszechnie wiadomo, to o wiele lepszy napój niż czerwone wino. Wielu jest ludzi, którzy napiwszy się czerwonego wina stają się weseli i przychodzą im do głowy dobre myśli. Ale komar Waldemar, który napił się krwi dziecięcej, był jeszcze weselszy i przychodziły mu do głowy jeszcze lepsze myśli. A najlepsza myśl, jaka przyszła mu do głowy, była następująca:

— Jutro włożę buty, rozpalona skóra nie będzie mnie parzyła i będę pił krew dzieci przez cały dzień!

Z samego rana włożył komar Waldemar buty z cholewami i zaledwie słońce wzniosło się ponad wzgórze, a na brzegu rzeki zaczęły biegać pierwsze rozebrane dzieci, zabrał się do pracy. Temu usiadł na brzuszku, tamtemu na plecach i zanim jedno dziecko zdążyło się przed nim opędzić, bzzz! — odlatywał i już siedział na innym. I pił, pił, pił słodką krew dziecięcą i było mu słodko na duszy już przed południem.

— Co to ma znaczyć? — złościły się pogryzione dzieci. — Do zachodu słońca jeszcze daleko, a komary już gryzą!

Poubierały się i rozgniewane poszły do domów. Dzień był piękny, jakby stworzony dla kąpeli, a dzieci siedziały w domu i wyglądały przez okno.

Drugiego dnia wszystko się powtórzyło. Trzeciego tak samo. Dzieci były bardzo smutne.

Wakacje uciekały, a one z powodu komarów w ogóle nie mogły się kąpać. Właściwie tylko z powodu jednego komara. Z powodu komara Waldemara. Na nogach miał buty z cholewami — łatwo go było odróżnić od pozostałych komarów. I dzieci

« 28 »

zauważyły, że gryzie je w dzień i psuje im kąpiel stale jeden i ten sam komar — komar w butach.

Na pewno odgadnicie, co było dalej. Czwartego dnia przyszły dzieci do mnie.

— Pan jest pisarzem, potrafi pan wymyślać różne rzeczy, niech pan wymyśli, co mamy zrobić z tym komarzyskiem w butach! — poprosiły mnie.

Lubię dzieci, sam kiedyś byłem dzieckiem, jakże mogłem dzieciom odmówić pomocy? Przez całą noc wymyślałem, wymyślałem, a zaledwie ranek zaświtał, wybrałem się z dziećmi nad rzekę. Usadawiłem się na brzegu, wyciągnąłem z kieszeni zegarek, otworzyłem go i położyłem na trawie. Widział już ktoś z was taką rzecz — otwarty zegarek na brzegu rzeki? Po niebie idzie słońce, po ziemi płynie rzeka, a w otwartym zegarku na brzegu rzeki chodzą zębate kółka. Prześliczny widok.

Wszystkie dzieci się zbiegły i przyglądały się. I — tak jak się słusznie spodziewałem — ciekawość przyciągnęła także komara w butach.

Usiadł komar w butach na trawie obok zegarka i patrzył z bliska na chodzące zębate kółka. Przez chwilę patrzył, po chwili powiedział:

— Do stu piorunów, jakim komar Waldemar! Różne rzeczy już przeżyłem, różne starałem się przeżyć, ale czegoś takiego jeszcze nie przeżyłem ani nie starałem się przeżyć: cóż to za stworzenie, które ma tyle zębów?

— Co to za stworzenie? Nic ci do tego, bratku — odpowiedziałem komarowi Waldemarowi.

«2

demarowi. — Ale jednego możesz być pewny: co ma zęby, ma także krew. Wiele zębów, krwi jeszcze więcej. Zęby sto razy mocniejsze od zwyczajnych zębów. A krew tysiąc razy słodsza!

— Nie uwierzę, póki nie pociągnę! — zawołał komar Waldemar i wskoczył do zegarka pociągnąć jego krwi.

A ja tylko na to czekałem. Trach! — zatrzasnąłem wieczko, zegarek się zamknął, i komar Waldemar został w nim zamknięty.

— No tak, dzieci! — powiedziałem. — Teraz znowu możecie wesoło się kąpać. Komar jest w zegarku.

Uradowały się dzieci i zawołały:

— Wspaniale! Tylko czy komar nie będzie teraz hamował panu zegarka?

— Jakżeby nie! — zawołałem. — Oczywiście, że będzie. Zegarek będzie chodził wolniej, a wam będą wolniej upływały wakacje. A gdy wakacje się skończą, znów komara Waldemara z zegarka wypuszczę, zegarek przyśpieszy, a wam szybciej będzie upływał rok szkolny!

Uradowały się wszystkie dzieci jeszcze bardziej.

A wy, jeśli nie wierzycie, że wszystko, co wam tu opowiedziałem, to święta prawda, przyjedźcie podczas wakacji do naszego miasta, poznajcie jego uroki, a jeśli zostanie wam trochę czasu, odwiedźcie także i mnie.

Pokażę wam ten zegarek, a wy możecie zapytać komara Waldemara, czy to naprawdę tak było, i usłyszycie, jak wam z zegarka odpowie:

— Tak, tak, tak.

Waldemarze

9»

G<

i dzie się to działo, tam się działo, a gdzieś indziej mogło się dziać, jak nie w Kocurkowie, mieszkał tam w domku na przedmieściu kocur Kacper. Co ja mówię w domku — był to dom. Dach z wiatraczkiem miał i ganek, w komorze pięć wątrobianek, a kocur Kacper mieszkał w tym domu zu-

O kocurze Kacprze

ci jest, braciszku kocurze

— Jak Kacprze?

I zaraz sobie odpowiedział:

— Wesoło, braciszku kocurze Kacprze. Lecz zaledwie to wypowiedział, od razu wiedział, że żadnego brata nie ma, bo kto to kiedy słyszał, żeby dwaj bracia nazywali

pełnie sam. Rodzeństwa nie miał — nie urodziło mu się. Rodziców też nie miał — umarli. Oczom kotek nie dowierzał, więc się też nie ożenił, nic dziwnego, że kocur Kacper poczuł się w swoim domu markotnie. Żeby się rozweselić, zaczął sobie wmawiać, że ma brata. Stał przed lustrem i zapytał sam siebie:

— Kacprowie. Odszedł więc od lustra i było mu jeszcze markotniej niż przedtem.

Smutny-niewesoły usiadł kocur Kacper przy oknie, żeby śmierci wyglądać. Żeby patrzeć, czy się już zbliża, a jeśli się zbliża, to zawołać do niej, żeby się nic nie bała i przyśpieszyła kroku, bo jemu, kocurowi Kacprowi, i tak już odechciało się żyć.

BAJKI ZWIERZĘCE

« 30 »

I gdy tak przez to okno patrzy i patrzy, naraz — co widzi? Idzie ulicą jego stary znajomy, kocur Leonard. Maszeruje sobie kocur Leonard wesoło, wesolutko, a za nim idzie jakieś stworzenie. Przyjrzał się lepiej kocur Kacper i zobaczył, że to stworzenie — to mały człowiek.

— Ach — westchnął. — Naturalnie, że może sobie kocur Leonard maszerować wesoło, wesolutko, skoro ma małego człowieka. Wieczorem na pewno go kąpie, rano gotuje mu kakao, prowadzi małego człowieka na spacer, ma przy nim zabawy, że ho, ho.

Wychylił się kocur Kacper z okna i zawołał do kocura Leonarda:

— Hej, kocurze Leonardzie! Jak zdobyłeś tego małego człowieka?

Uśmiechnął się na ulicy kocur Leonard, zawołał do kocura Kacpra w oknie:

— Kto ma trochę sprytu, ten sobie schwyta!

Kocurowi Kacprowi niczego więcej nie było trzeba. Zamknął dom i hajda w miasto, żeby schwytać sobie też takie stworzenie — małego człowieka.

Chodził, chodził, czatował, czatował. Czatował nad wodą, a nuż z niej mały człowiek się wynurzy.

— Jak się tylko wynurzy, zaraz go capnę! — odgrażał się w duchu.

Ale mały człowiek nie wynurzył się z wody.

Czatował na drzewie, a nuż mały człowiek z jakiegoś gniazda głowę wychyli.

— Jak tylko ją wychyli, zaraz go capnę! — odgrażał się w duchu.

Ale mały człowiek z żadnego gniazda głowy nie wychylił.

Dziwował się kocur Kacper a dziwował, jak to trudno schwytać małego człowieka. Tak się dziwował, aż się tym dziwowaniem

O kocur

zmęczył. I taki zmęczony zobaczył jakieś otwarte drzwi, za nimi jakiś pokój, w pokoju kanapę, na kanapie kapelusik.

— Ech — pomyślał sobie. — Na tej kanapie pod tym kapelusikiem troszkę się zdrzemnę, a jak się obudzę, znowu będę rześki i pójdę czatować dalej.

Jak pomyślał, tak też zrobił. Wszedł przez otwarte drzwi, wskoczył na kanapę, przykrył się kapelusikiem i zasnął. Spał, spał, a gdy się obudził, wydało mu się, że kanapa pod nim jakoś się odmieniła. Kiedy się na niej kładł, sterczały z kanapy włoski tycie, tyciuteńkie, mrówka by ponad nimi mrowisko dojrzała, a teraz, gdy się obudził, nie były to już włoski, tylko włosy, ba, żeby to włosy, ale włosiska, takie wyso-kaśne, że słoń by w nich zabłądził.

— Ejże — pomyślał kocur Kacper. — Teraz jakoś szybko rosną kanapom włoski, za dawnych czasów tak nie bywało. I gdy-byż to było wszystko! Ale kanapa się rusza.

Wychylił kocur Kacper głowę spod kapelusika, żeby zobaczyć, co się dzieje z kanapą — i co widzi? To pod nim to nie żadna kanapa, tylko mały człowiek. Wesoło sobie maszeruje i, jak się wydaje, wcale nie wie, że oprócz kapelusika włożył sobie na głowę także śpiącego pod nim kocura Kacpra.

— Cha, cha, cha! — roześmiał się pod wąsem kocur Kacper. — Czatujesz, nie schwytasz, nie czatujesz, schwytasz.

Nie zwlekając zeskoczył z głowy małego człowieka na ramię, z ramienia na ziemię, chwycił małego człowieka w pól, zarzucił go sobie na plecy i zanim się mały człowiek spostrzegł, zaniósł go kocur Kacper do swojego domu.

W domu nauczył kocur Kacper małego człowieka wielu znanych zabaw. Zabawy w architekta i królową, i zabawy w cho-

Kacprze

«31 »

wanego, i zabawy w Nabuchodonozora pod Popocatepetlem, a na koniec nauczył kocur Kacper małego człowieka także zabawy w dwóch braci.

— Jak ci jest, braciszku mały człowieku? — zapytał kocur Kacper małego człowieka.

— Niewesoło, braciszku kocurze Kacprze! — odpowiedział mały człowiek. — Już wieczór, a ja dawno powinienem być w domu.

I zaledwie mały człowiek to powiedział, już go nie było. Zostały po nim tylko otwarte drzwi, w otwartych drzwiach granatowe niebo, na granatowym niebie żółty księżyc. A ten żółty księżyc — cóż to się z nim dzieje? Przez chwilę go widać — a po chwili go nie widać. Przez chwilę go nie widać — a po chwili znowu widać.

— Czyżby to obłoczki przepływały przez księżyc? — zastanowił się kocur Kacper.

Ale kiedy przyjrzał się uważniej, zobaczył, że to bynajmniej nie obłoczki przepływają przez księżyc, tylko wiatr kołysze

O bocianie

IN a moim dachu znajdowało się stare koło, na kole gniazdo, a w gnieździe każdego lata przebywał bocian Bonifacy. Jesienią zawsze się wyściskaliśmy, obdarowywałem go faską bryndzy mówiąc: jedz i wspominaj — i bocian Bonifacy odlatywał do ciepłych krajów. Ale wiosną wracał znowu, raz przyniósł mi orzech kokosowy, innym razem strusie pióro, i tak w przyjaźni i wśród uciech żyliśmy całe lato.

Pewnego lata jednak zaszła nieprzewidziana rzecz: bocian Bonifacy w sierpniu się skaleczył.

Pewnego razu unosił się w po-

BAJKI Z\

na zawiasach drzwi, które mały człowiek zostawił otwarte. Drzwi to się przymykają, to się otwierają, to zasłaniają księżyc, to go odsłaniają. Zupełnie, jakby przez księżyc przepływały obłoczki.

— Ho, ho! — zawołał kocur Kacper. — Jakież ja mam wspańiałe drzwi! Drzwi jak płynące obłoczki! Któż inny ma takie?

Słyszały to drzwi i były kocurowi Kacprowi wdzięczne za to, że tak je podziwia. W całym ich drzwiowym życiu nikt ich dotychczas tak nie podziwiał.

— Skrzyp! Musimy się kocurowi Kacprowi jakoś odwdzińczyć! — zaskrzypiały drzwi same do siebie.

I zaczęły rozmyślać, jak by mu się odwdzińczyć.

Przez całą noc rozmyślały, nad ranem wymyśliły.

A gdy ranek zaświtał, drzwi otworzyły się i wpuściły do kocura Kacpra znowu małego człowieka.

I odtąd wpuszczają go do niego codziennie.

Bonifacym

wietrzy tak nieostrożnie, że uderzyło go w skrzydło śmigło helikoptera. Był już październik, a skrzydło wciąż jeszcze chore, nie zagojone.

— Wiesz ty co, Bonifacy? — mówię do niego. — Przechimujesz u mnie. Urządę ci jeden pokój w moim domu, będziesz w nim miał gramofon i dobre książki, będziesz sobie słuchał, będziesz sobie czytał i ani się obejrzyysz, jak znowu będzie wiosna.

— Ach, ach — westchnął bocian Bonifacy. — Ale co będzie z moim przyja-

« 32 »

cielem, słoń Jumbo? Już na mnie na pewno czeka, na bryndzę się cieszy, po brzegu Afryki spaceruje, w niebo spogląda i jeśli nie przylecę, pomyśli, że umarłem, i z żalu on też gotów umrzeć.

— Jakoś to będzie — odpowiadam na to bocianowi Bonifacemu. — Słoń Jumbo jest nie w ciemności, wie, że różne rzeczy mogą się zdarzyć i nie będzie myślał od razu o najgorszym. Cóż miał robić bocian Bonifacy? Skrzydło bolało — czy chciał, czy nie chciał, musiał zostać u mnie na zimę.

Zima tego roku była tęga, ale bocian Bonifacy jej nie odczuł. W jego pokoju paliłem dzień i noc. Tak jak obiecałem, dostarczyłem mu do niego gramofon i dobre książki. Puszczając sobie Mozarta, czytał Tajovskiego, a żeby czas jeszcze milej mu upływał, grywaliśmy co wieczór do późnej nocy w sześćdziesiąt sześć.

Ech, gdybyście widzieli, jak się ucieszył, gdy po raz pierwszy zobaczył przez okno śnieg! Myślał, że to bita śmietana, i nie uwierzył, że nie, dopóki z podwórza nie przyniosłem garści i nie dałem mu polizać. Kwiaty

O bocianie Bonifacym

« 33 »

które mróz wymalował na oknach, chciał bocian Bonifacy zerwać i wstawić do wazonu. Albo to jego zdziwienie, gdy zobaczył przez okno narciarzy!

— Dziwne nogi — kręcił głową.

— Zupełnie zwyczajne — wyjaśniłem mu. — Tylko są do nich przypięte deseczki.

— Głupi pomysł, przypinać do nóg deseczki! — denerwował się bocian Bonifacy. — O ileż łatwiej chodziłoby się tym deskarzom bez deseczek!

Mogłem sobie na języku narobić odcisków, a i tak go nie przekonałem, że po śniegu lepiej się chodzi z deseczkami.

Ale czy to graliśmy w sześćdziesiąt sześć, czy patrzyliśmy przez okno, czy bocian Bonifacy słuchał Mozarta, czy też czytał Tajovskiego, zawsze akurat wtedy, gdy się tego najmniej spodziewałem, pochylał głowę i zamyślał się.

— O czym myślisz? — zapytałem go za pierwszym razem.

— Ach, Jumbo, Jumbo — westchnął bocian Bonifacy.

Za drugim razem o nic go już nie wypytywałem. Postawiłem na stole kokosowy orzech, z którego już dawno wypłem kokosowe mleko, a teraz w nim trzymałem atrament. Potem zaostrzyłem strusie pióro i powiedziałem: — Nie wzdychaj, Bonifacy, napiszmy do twojego Jumbo list. I napisaliśmy:

Drogi Jumbo!

W pierwszym rzędzie serdecznie Cię pozdrawiamy i uprzejmie Cię prosimy, żebyś się nie martwił, bo sprawy tak się mają, że bocian Bonifacy skaleczył skrzydło i nie mógł odlecieć.

Zimuje bezpiecznie u swego przyjaciela pisarza i do Afryki przyleci dopiero w przyszłym roku. Bryndza w tym roku była i tak nie najlepsza. Uważaj na kły i myj trąbę.

Całują Cię Twoi...

bajki z

I podpisałiśmy się.

— No tak — mówię. — A teraz zaniosę to na pocztę. Jeszcze nie skończyłem tego mówić, gdy wtem nagle bęc! — otwierają się drzwi i w progu staje słoń.

— Jumbo! — zawołał bocian Bonifacy. — Skąd się tu wzięłeś?

— Bonifacy! — zawołał słoń Jumbo. — Skąd się wzięłem, to się wzięłem. Przywiózł mnie ten oto krępy człowiek.

I słoń Jumbo odsunął się i zobaczyliśmy stojącego za nim krępego człowieka.

— Tam do licha! — zawołał bocian Bonifacy. — Przecież ja pana, krępy człowieku, już gdzieś widziałem!

— Niewątpliwie — potwierdził krępy człowiek. — Jestem pilotem tego helikoptera, którego śmigło uderzyło pana w skrzydło. Ażeby przynajmniej częściowo umilić panu kurację, przywiozłem panu swoim helikopterem gościa — pańskiego afrykańskiego przyjaciela.

— Och — zawołał bocian Bonifacy ze łzami w oczach. — Och, gdzie tam częściowo! Umilił mi pan kurację całkowicie!

Co tu jeszcze dodać?

Urządziłem w swoim domu pokój także dla słonia Jumbo. Oczywiście musiałem do niego zrobić specjalne poszerzone wejście, siedemdziesiąt siedem razy większe od zwykłych drzwi. Słoń Jumbo był w ogóle pierwszym słoniem, jaki zawitał do naszego miasta. Toteż starosta naszego miasta otrzymał od starosty województwa dyplom za to, że zadbał, by obywatele naszego miasta mieli możliwość obejrzenia słonia z bliska i wzbogacenia dzięki temu swojej wiedzy. Ale sami powiedzcie: co miał z tym wspólnego starosta? A gdyby nawet chciał mieć z tym coś wspólnego, co by wskórał, gdyby nie gościnność, która... Ale co tam, co tam. Skromność jest ozdobą wielkiego ducha.

« 34 »

O motyłu Otylii

Idę sobie raz ulicą, idę, aż tu nagle z wielkiego domu towarowego wprost do mojego ucha zaczyna krzyczeć głośnik:

— Ubranie czyni człowieka, bratku! Ładnie ubranego człowieka wszyscy szanują. A ty? Ani krawata nie zawiązałeś, ani butów nie wyczyściłeś!

— Nie było kiedy wiązać i czyścić, bratku — mówię. — Pisałem bajki zwierzęce. I wiedz, bratku, że mnie w ogóle nie zależy na tym, żeby ktoś szanował mnie z powodu ubrania.

— No dobrze, bratku — krzyczy głośnik. — Ale przynajmniej muszkę mógłbyś sobie kupić. Muszka właściwie nie jest nawet ubraniem. I nawet nie powinna nazywać się muszka, bo bardziej przypomina motyla. A motyl — to coś, co nam przypomina lasy, rzeki, zaroszone łąki. Motyl

— to cząstka przyrody. A skoro ty piszesz bajki zwierzęce, przyrodę na pewno kochasz, czyżbym się mylił, bratku?

— Nie mylisz się, bratku — mówię. — Przyrodę kocham miłością dozgonną.

— No widzisz, bratku — woła głośnik.

— Kup więc sobie muszkę-motyła. Mam\ przebogaty wybór muszek.

Wszedłem do domu towarowego i kupiłem sobie muszkę. Z domu towarowego wyszedłem już z muszką uwiązaną pod brodą.

Przychodzę do domu, zamierzam zasiąść do pracy, aż tu czuję, że coś mnie ciągnie.

— Cóż to mnie ciągnie? — dziwię się głośno.

A spod brody słyszę:

— Ja, Otylia! Twój motyl!

— Tak? — dziwię się jeszcze bardziej.

— Nie po to cię, Otylio, kupowałem, żebyś mnie ciągnęła wtedy, gdy mam pracę! Daj więc już spokój z tym ciągnięciem!

— Zaraz — powiedział motyl Otylia. — Zaraz!

Ale co oznacza „zaraz” w mowie motyli? Na pewno nie to samo, co w naszej. Muszka--motyl Otylia ciągnęła mnie bowiem dalej. Ani się obejrzałem, jak przyciągnęła mnie przed lustro. A przed lustrem ostro się do mnie zabrała.

O motyłu Otylii

« 35 »

— Zobacz, jaki jesteś zarośnięty! Czy to pasuje jedno do drugiego, człowiek z muszką, a broda jak szczotka? A gdzie masz złote spinki do rękawów? Czy to pasuje jedno do drugiego, człowiek z muszką, a rękawy dyndają mu nie zapięte?

Co było robić? Ogoliłem się. Pod szafą znalazłem jedną złotą spinkę, pod łóżkiem drugą, srebrną, spałem nimi rękawy.

— Ech, ty, ty — zbeształ mnie spod brody motyl Otylia. — Wyrzuć tę srebrną spinkę i szukaj drugiej złotej.

Albo wyrzuć złotą i szukaj drugiej srebrnej. A na lewo od nosa zostały ci trzy włoski! Co było robić? Zgoliłem sobie dwa z tych trzech włosków, trzeci zostawiłem na potem, kiedy już znajdę drugą złotą lub drugą srebrną spinkę. Gdzież ona może być? Podnoszę jedną książkę — nie ma jej pod nią. Podnoszę drugą książkę — nie ma jej pod nią.

Podnoszę telefon, a telefon przemawia:

— Halo, tu redakcja czasopismka dla dzieci, przy telefonie Zdrabniaczkowa. Co ze zwierzęcą bajeczką?

— Chwileczkę — mówię. — Teraz szukam spinki.

O wróblu

Był raz pewien wróbel Wawrzyniec i ten wróbel jadał muszki.

Zjadał ten wróbelek

latem muszek wiele.

Potem przyszła zima —

oj, źle! — muszek nie ma.

— Ech — powiedział sobie głodniały wróbel Wawrzyniec. — Pójdę na mecz bajki z

— Teraz pan szuka spinki? A my przez pana nie możemy wydać numerku. Wszystkie stroniczki są wypełnione, tylko ta pańska — zupełnie bielutka.

Odłożyłem telefon.

— No? — przemówiła Otylia spod mojej brody. — Znalazła się?

— Nie — mówię. — Ale wiem już, co zrobić. Zepnę sobie mankiety dwoma jednakowymi kwiatami.

— Ale to przecież nie jest przyjęte — zdziwiła się Otylia.

— Nie jest — mówię. — Ale może się przyjmie. Grunt, żeby mi te dwa kwiaty wybrał ktoś, kto ma tak wyrafinowany gust jak ty!

I zaledwie skończyłem to mówić, ciach! — zerwałem Otylię z szyi i wyrzuciłem ją przez otwarte okno na łąkę pełną kwiatów.

Potem zatrzaskałem okno, spokojnie usiadłem i napisałem następną bajkę zwierzęcą.

A motyl Otylia do dziś fruwa pośród kwiatów i wybiera tylko dla mnie dwa najbardziej gustowne do zapięcia mankietów.

Wawrzyńcu

hokejowy. Gra mnie zainteresuje, zapomnę o głodzie.

Poszedł wróbel Wawrzyniec na mecz hokejowy. Gra rzeczywiście go zainteresowała.

Rzeczywiście zapomniął o głodzie.

Aż tu naraz obok wróbla jakaś papuga włączyła tranzystor.

« 36 »

— Skontrolujemy, jak prowadzą sprawozdanie — powiedziała do sąsiadów. — Trzeba kontrolować.

Sprawozdawca mówił:

— Golonka dobrze ustawił muszkę, pada osiemnasty gol dla Slovana.

Rzeczywiście tak było.

— Widzicie! — zawołała uradowana papuga. — Kontrola pomogła, dobrze prowadzą sprawozdanie.

Sąsiedzi zgodzili się z papugą.

Sąsiedzi zgodzili się z papugą.

I tranzystor grał, a z tranzystora wciąż dobiegało:

— Muszka Golonki, dobrze ustawia muszkę, źle wziął na muszkę, Golonka ma na muszce bramkę, Tikal Golonkę, ajajaj, ta muszka, co z tą muszką...

A wróbel słuchał tego i mecz w ogóle go już nie interesował, a gdyby nawet go interesował, nic by z niego nie miał, bo z głodu przestał już widzieć na oczy.

Ale z wróblem, odkąd usłyszał o muszce Golonki, było źle. Gra przestała go interesować. Jakże mogło być inaczej, skoro przypomniał sobie, że jest głodny.

— Wyłącz tranzystor, ty papugo! — powiedział. — Kiedy go słucham, gra przestaje mnie interesować.

— No i co z tego! — powiedziała papuga. — Ciebie przestaje, a innych może właśnie zaczyna. Wróbel — a dyrygować by chciał! Phi!

— Moja droga! — przemówił w końcu ponownie do papugi. — Wiesz, ze mną to jest tak. Strasznie jestem wygłodzony. Jadam muszki, a muszek, jak ci z pewnością wiadomo, w zimie w ogóle nie ma. Przyszedłem na mecz, żeby o tym zapomnieć, i już nawet zapomniałem, gdy w tym twoim tranzystorze zaczęli co chwilę muszkę wspominać i znowu mi wszystko przypomnieli. Nawet bym się przesiadł, ale widzisz, jaki tłok.

O wróblu Wawrzyńcu

« 37 »

Przesiąść się nie mam gdzie. Czy nie mogłabyś tego przynajmniej ściszyć?

— Naturalnie, niech pani to ściszy! — zgodzili się sąsiedzi z wróblem Wawrzyńcem.

— Nie ściszę! — zawołała papuga. — Natychmiast wyłączam.

I wyłączyła tranzystor.

— Czemuż to — powiedziała do wróbla Wawrzyńca — czemuż to nie powiedziałeś o tych muszkach i o tym głodzie od razu? Nie musiałeś mnie nawet od papug wyzywać.

— Kiedy się wstydzilem — powiedział wróbel Wawrzyniec.

— Ech — zawołała papuga. — Prawdy się, bracie, nigdy nie wstydz! Żeby nie wiem co, prawda to tylko prawda. Proso jadasz?

— Proso! — zawołał wróbel Wawrzyniec. — Nawet mi o prosie nie wspominaj! Ogromnie je lubię. Ale teraz zimą tak jak nie ma muszek, tak nie ma i prosa!

— Pójdziemy po meczu do mnie na proso — powiedziała papuga.

I rzeczywiście — po meczu hokejowym wróbel najadł się u papugi prosa. I to jeszcze jakiego!

Sami byście chcieli na pewno spróbować takiego.

O motylu Otylii i wróblu Wawrzyńcu

u,

mówili się raz wróbel Wawrzyniec i motyl Otylia, że urządzą zawody, aby się przekonać, które z nich jest lepszym strzelcem. Kupili rewolwer, ustawili na łące tarczę.

Najpierw strzelał wróbel Wawrzyniec, a motyl Otylia siedział na tarczy i liczył trafienia.

Potem zaś strzelał motyl Otylia, a na tarczy siedział i trafienia liczył wróbel Wawrzyniec. Ale motyl Otylia — jak wszystkie motyle — nie był dobrym strzelcem. Mierzył do tarczy, lecz gdy nacisnął spust, kula poleciała ponad tarczę. A że na tarczy siedział wróbel Wawrzyniec, więc ta kula leciała prosto w kierunku serca wróbla Wawrzyńca.

— Uchyl się! — zawołał motyl Otylia widząc, co się święci.

I wróbel Wawrzyniec uchylił się.

Był najwyższy czas! Kula śmignęła koło jego serca, w nic nie trafiła i poleciała dalej.

Stopniowo przeleciała nad oceanem, potem nad Saharą i o ile w międzyczasie nie schwytał jej w siatkę jakiś profesor, który wziął ją za rzadki okaz chrząszcza, to leci jeszcze teraz i być może będzie leciała wiecznie.

Wiem, że powiecie sobie:

— Jakże wróbel Wawrzyniec mógł się uchylić? Przecież kula rewolwerowa leci strasznie szybko!

Leci i nie leci. Wy chyba jeszcze nie słyszeliście o tym, że gdy spust rewolweru naciśnie motyl, to jest to takie delikatne naciśnięcie, że i wystrzał jest cichy, i kula leci powoli i można się przed nią nawet uchylić.

Ale ludzie niech lepiej tego nie próbują.

BAJKI ZWIERZĘCE

« 38 »

*

Ws:

O psie Achillesie

czyli o tym, jak ukończyłem pisanie „Bajek zwierzęcych”

wszystkie bajki zwierzęce, które przeczytaliście, napisałem w małym domku, w którym mogły mieszkać akurat trzy osoby: ja, moja żona Olga i pies Achilles. Ja od rana do wieczora stukiałem na maszynie, stronicę po stronicy, Olga siedziała obok mnie i wystukane stronice numerowała, a pies Achilles leżał przy drzwiach i uważał, czy ktoś do nich nie kołacze.

Zawsze, gdy ktoś do drzwi zakolał, podnosił głowę i szczekał:

Zdarzało się jednak, że nie było nas w domu. Podczas pisania bajki zwierzęcej o bocianie Bonifacym musiałem na przykład skoczyć do ogrodu zoologicznego, bo nie mogłem sobie przypomnieć, ile bocian ma nóg.

Olga była ze mną i gdy pokazano nam bociana, pomagała mi jego nogi liczyć.

W takich wypadkach pies Achilles zazwyczaj szczekał:

— Kto trzaska, kto kołacze, że aż mi serce skacze?

Jeśli to był listonosz, odpowiadał:

— Listonosz!

I przez szparę w drzwiach wrzucał nam list. Pies Achilles brał list, otwierał go i czytał, i jeśli nie była to nieprzyjemna wiadomość, przychodził i kładł go nam na stole. Jeśli była to nieprzyjemna wiadomość, nie przychodził i na stole nic nam nie kładł. Po prostu gryzł list i połykał go. Nigdy nie zachorował od nieprzyjemnych wiadomości. A my nigdy nieprzyjemnych wiadomości nie otrzymywaliśmy.

Innym znowu razem kołatał do drzwi nasz przyjaciel Pablo Picasso. Usłyszawszy, o co pies Achilles spoza drzwi go pyta, uprzejmie mu odpowiadał:

— Jestem Pablo Picasso, artysta malarz. Czy jest w domu poeta L'ubomir Feldek, albo przynajmniej jego żona Olga?

Jeżeli byliśmy w domu, pies Achilles otwierał drzwi i wpuszczał Pabla Picassa.

— Nie mogę mieć, do stu gromów,

bez ustanku wszystkich

w domu!

A wówczas nasz przyjaciel Pablo Picasso wrywał z notesu kartkę, rysował na niej ptaszka i wrzucał go przez szparę w drzwiach, żebyśmy wiedzieli, że nas szukał. Pies Achilles brał ptaszka, jeśli był dobrze narysowany, kładł go nam na stole, jeśli był źle narysowany, robił z nim to samo, co z nieprzyjemnymi wiadomościami: gryzł go i połykał. Nigdy od źle narysowanych ptaszków nie zachorował. A nasz przyjaciel Pablo Picasso rysował ptaszki coraz to lepiej i lepiej, bo zależało mu na tym, żebyśmy zawsze dowiedzieli się, że nas szukał. Tak więc zawsze, kiedy akurat nie pracowałem, siedzieliśmy z Olgą za stołem, czytaliśmy przyjemne wiadomości, przeglądaliśmy dobrze narysowane ptaszki i byliśmy bardzo szczęśliwi.

O psie Achillesie

« 41 »

Pewnego dnia jednak w naszym życiu nastąpiła zmiana. Olga przeczytała tytuł bajki zwierzęcej, którą właśnie skończyłem pisać, i zawołała:

— Bajka zwierzęca o wróblu Wawrzyń-cu i motyłu Otylii? Przecież już raz o nich pisałeś!
— Rzeczywiście — powiedziałem. — Już raz o nich pisałem. Jak to się mogło stać, że piszę o nich po raz drugi?

— Tak się to mogło stać, że już wszystkie ważne zwierzęta, o których trzeba było napisać bajki, wyczerpałeś — powiedziała Olga. — Bajki zwierzęce są gotowe!

— Masz rację — zawołałem. — Bajki zwierzęce są gotowe! Widzę to także po tym, że choć starałem się każdą następną bajkę napisać jeszcze krótszą od poprzedniej, to i tak skończył mi się wszystek czysty papier.

Ja i Olga postanowiliśmy zatem, że ukończenie bajek zwierzęcych musimy jakoś uczcić i że najlepiej je uczymy spacerem po mieście. Dawno już niczego nie czciliśmy spacerem po mieście. A jeśli chodzi o psa Achillesa, to on jeszcze nawet nie widział miasta.

Postanowiliśmy zabrać go ze sobą.

Kiedy tak spacerowaliśmy, naszą uwagę przyciągnął naraz plakat w witrynie instytucji SŁOWACKI GRAMOFON. Było na nim napisane:

MA PAN TENOR?

MA PAN BAS?

PROSIMY ODWIEDZIĆ NAS!

BŁYSKAWICZNE NAGRANIA!

PRZYDATNE DO MIESZKANIA!

— Jak ci się podoba ten plakat? — zapytałem Olę.

— Za bardzo mi się nie podoba — powiedziała Olga.

bajki z

— Mnie też nie za bardzo się podoba — powiedziałem.

Żadnemu z nas za bardzo się nie podobał. Cieszyliśmy się, że jesteśmy zgodni. Tak się cieszyliśmy, aż z tej radości naraz zaczął nam się ten plakat podobać.

— Naraz zaczął mi się ten plakat podobać — powiedziała Olga.

— I mnie też się naraz zaczął podobać — powiedziałem.

Wtem rozejrzeliśmy się, a psa Achillesa ani śladu. Spotkaliśmy się z nim dopiero po powrocie ze spaceru — był już w domu. Stał na swoim miejscu za drzwiami i trzymał w zębach paczuszkę. Bardzo byliśmy ciekawi, co to za paczuszka, ale jako ludzie dobrze wychowani nie pytaliśmy o to psa Achillesa. Pomyśleliśmy: jak będzie chciał nam to powiedzieć, powie nam z własnej woli. Ale nie powiedział.

Wieczorem usiedliśmy przy stole i rozmawialiśmy. Aż tu nagle słyszymy z korytarza głos psa Achillesa:

— Kto trzaska, kto kołacze, że aż mi serce skacze?

— Cóż ten pies Achilles plecie? — zdziwiłem się. — Przecież nikt nie kołacze do drzwi!

— Może ma na myśli nas — powiedziała Olga.

— Jak to nas? — zdziwiłem się jeszcze bardziej.

— Ano tak — powiedziała Olga. — Może chce powiedzieć, że nic tylko trzaskamy dziobami i że powinniśmy już przestać i wziąć się do czegoś pożyteczniejszego.

— Co za bezczelność! — zawołałem. — Przecież tylko co skończyłem bajki zwierzęce i mam prawo do chwili odpoczynku! A choćby i nie! Jakiś tam pies nie może sobie pozwalać i mówić, że jego

« 42 »

Pewnego dnia jednak w naszym życiu nastąpiła zmiana. Olga przeczytała tytuł bajki zwierzęcej, którą właśnie skończyłem pisać, i zawołała:

— Bajka zwierzęca o wróblu Wawrzyń-cu i motyłu Otylii? Przecież już raz o nich pisałeś!

— Rzeczywiście — powiedziałem. — Już raz o nich pisałem. Jak to się mogło stać, że piszę o nich po raz drugi?

— Tak się to mogło stać, że już wszystkie ważne zwierzęta, o których trzeba było napisać bajki, wyczerpałeś — powiedziała Olga. — Bajki zwierzęce są gotowe!

— Masz rację — zawołałem. — Bajki zwierzęce są gotowe! Widzę to także po tym, że choć starałem się każdą następną bajkę napisać jeszcze krótszą od poprzedniej, to i tak skończył mi się wszystek czysty papier.

Ja i Olga postanowiliśmy zatem, że ukończenie bajek zwierzęcych musimy jakoś uczcić i że najlepiej je uczymy spacerem po mieście. Dawno już niczego nie czciliśmy spacerem po mieście. A jeśli chodzi o psa Achillesa, to on jeszcze nawet nie widział miasta.

Postanowiliśmy zabrać go ze sobą.

Kiedy tak spacerowaliśmy, naszą uwagę przyciągnął naraz plakat w witrynie instytucji SŁOWACKI GRAMOFON. Było na nim napisane:

MA PAN TENOR?

MA PAN BAS?

PROSIMY ODWIEDZIĆ NAS!

BŁYSKAWICZNE NAGRANIA!

PRZYDATNE DO MIESZKANIA!

— Jak ci się podoba ten plakat? — zapytałem Olgę.

— Za bardzo mi się nie podoba — powiedziała Olga.

bajki z

— Mnie też nie za bardzo się podoba — powiedziałem.

Żadnemu z nas za bardzo się nie podobał. Cieszyliśmy się, że jesteśmy zgodni. Tak się cieszyliśmy, aż z tej radości naraz zaczął nam się ten plakat podobać.

— Naraz zaczął mi się ten plakat podobać — powiedziała Olga.

— I mnie też się naraz zaczął podobać — powiedziałem.

Wtem rozejrzeliśmy się, a psa Achillesa ani śladu. Spotkaliśmy się z nim dopiero po powrocie ze spaceru — był już w domu. Stał na swoim miejscu za drzwiami i trzymał w zębach paczuszkę. Bardzo byliśmy ciekawi, co to za paczuszka, ale jako ludzie dobrze wychowani nie pytaliśmy o to psa Achillesa. Pomyśleliśmy: jak będzie chciał nam to powiedzieć, powie nam z własnej woli. Ale nie powiedział.

Wieczorem usiedliśmy przy stole i rozmawialiśmy. Aż tu nagle słyszymy z korytarza głos psa Achillesa:

— Kto trzaska, kto kołacze, że aż mi serce skacze?

— Cóż ten pies Achilles plecie? — zdziwiłem się. — Przecież nikt nie kołacze do drzwi!

— Może ma na myśli nas — powiedziała Olga.

— Jak to nas? — zdziwiłem się jeszcze bardziej.

— Ano tak — powiedziała Olga. — Może chce powiedzieć, że nic tylko trzaskamy dziobami i że powinniśmy już przestać i wziąć się do czegoś pożyteczniejszego.

— Co za bezczelność! — zawołałem. — Przecież tylko co skończyłem bajki zwierzęce i mam prawo do chwili odpoczynku! A choćby i nie! Jakiś tam pies nie może sobie pozwalać i mówić, że jego

« 42 »

pan trzaska dziobem. Oczywiście o ile ten pies nie zwariował. Achilles! Masz ty jeszcze wszystkich w domu?

I wtedy z korytarza usłyszeliśmy:

— Nie mogę gromów, bez ustanku w domu!

mieć, do stu

wszystkich

— Co tam — mówiliśmy sobie. — Trzeba poznać życie takie, jakie jest. Pies Achilles przez to, że połykał nieprzyjemne wiadomości i źle narysowane ptaszki, tylko nam w tym przeszkadzał.

— Mylicie się — rozległo się naraz spod okna akurat wtedy, gdy sobie to mówiliśmy. — Pies Achilles nieprzyjemnych wiadomości i źle narysowanych ptaszków wcale nie połykał.

— Widzisz — zawołałem. — On naprawdę zwariował!

I wybiegliśmy na korytarz.

W korytarzu ujrzeliśmy zaskakujący widok. Pies Achilles spał. Obok psa Achillesa stał nasz gramofon. A na gramofonie kręciła się płyta z głosem Achillesa. A więc to była ta paczuszka!

Nie zwlekając obudziłem psa Achillesa i wypędziłem go.

— Dlaczego to zrobiłeś? — zapytała Olga.

— Dlatego, że się rozleniwił — odpowiedziałem. — Rozleniwił się i chciał, żeby pracowało za niego urządzenie. Tylko że zapomniał, że nawet najdoskonalsze urządzenie nie zastąpi myślącego psa. Sama widzisz, jakie powstało zamieszanie.

Życie bez psa Achillesa było jednak jakieś inne. Jakieś smutniejsze. Zaczęliśmy otrzymywać także nieprzyjemne wiadomości. I odkryliśmy, że nasz przyjaciel Pablo Picasso wrzuca nam także źle narysowane ptaszki.

u v- o <9 í,"

Skoczyliśmy do okna i co ujrzeliśmy? Pod oknem stoi i mówi piękny książę. Ujrawszy nas w oknie ukłonił się i kontynuował:

O psie Achillesie

« 43 »

— Pies Achilles kładł wam na stole wszystkie wiadomości — i przyjemne, i nieprzyjemne. I przynosił wam wszystkie ptaszki — dobrze narysowane i źle narysowane. To tylko wy wówczas nieprzyjemnych wiadomości i źle narysowanych ptaszków zanadto nie zauważaliście, a teraz zauważacie. A zauważacie dlatego, że się rozleniwiliście. Ten, kto pracuje, zawsze łatwiej zauważa to, co lepsze. A ten, kto się rozleniwi, zawsze łatwiej zauważa to, co gorsze!

— Interesujące! — zawołaliśmy jednocześnie ja i Olga. — W twoich słowach, piękny książę, jest wiele prawdy. Rzeczywiście rozleniwiliśmy się. Przecież całymi dniami nic nie robimy, przecież całymi dniami tylko odpoczywamy. Jesteśmy o wiele bardziej leniwi, niż był biedny pies Achilles. Kto wie, gdzie się tuła i czy kiedykolwiek do nas wróci!

— Czyżbyście chcieli, żeby wrócił? — zapytał piękny książę.

— Chcielibyśmy — odpowiedzieliśmy zgodnie.

— Skoro nówicie, że chcielibyście, to w takim razie wrócę — powiedział piękny książę i — dziw nad dziwy — przemienił się natychmiast z pięknego księcia w psa Achillesa.

I znowu wszystko jest jak dawniej. Ja stukam od rana do wieczora na maszynie, stronicę za stronicą, Olga siedzi obok mnie i napisane stronice numeruje, a pies Achilles leży przy drzwiach i uważa, czy ktoś do nich nie kołacze. Tylko że to, co teraz piszę, to już nie są bajki zwierzęce. To już druga część „Błękitnej księgi bajek”, której nazwy nie zna jeszcze nawet ryba Rebeka.

Za to bardzo łatwo może ją poznać ten, kto spojrzy na następną stronę.

BAJKI ZWIERZĘCE

« 44 »

BAJKI NA NITCE

O zaraźliwym słowie

vJdzie się to działo, tam się działo, a gdzież powiedniej kobiety. Rozglądał się też i nasz indziej mogło się to dziać, jak nie u nas doktor Hokuspokus, a żeby na rozglądaniu w Bajkowie, mieszkał tu młody czarodziej, się nie skończyło, szukał także towarzy-doktor Hokuspokus. Młodość — to wiek stwa kobiet. Towarzyszył raz na ulicy pan-odpowiedni do ożenku. A kto jest w wieku nie Emilii Czułej, urzędniczce bajkowskiej odpowiednim do ożenku, ten musi zacząć poczyty. Zrobił się z tego ich pierwszy spacer,

się rozglądać, czy nie dojrzy gdzieś od- A po pierwszym drugi. A po drugim trzeci.
BAJKI NA NITCE

« 46 »

«*««»,».,£.

Co działo się na ich pierwszym spacerze? Nic szczególnego. Panna Emilia dowiedziała się podczas niego od doktora Hokus-pokusa, jak można z pustego czarodziejskiego cylindra wyciągnąć żywego Piotra Królika.

Co działo się na ich drugim spacerze? Nic szczególnego. Doktor Hokuspokus dowiedział się podczas niego od panny Emilii, ile znaczków pocztowych trzeba polizać, żeby człowiek mógł zaspokoić głód na cały dzień.

Co działo się na ich trzecim spacerze? Dziw nad dziwy! Pochylił się naraz doktor Hokuspokus ku pannie Emilii i szepnął jej do ucha słowo:

— Serduszko!

A ponieważ doktor Hokuspokus był czarodziejem, słowo to także było czarodziejskie. Było zaraźliwe. Komu wleciało ono do głowy przez ucho, ten musiał je natychmiast wypuścić z głowy przez usta.

Wleciało słowo przez ucho do głowy pannie Emilii, wyszeptała panna Emilia w odpowiedzi doktorowi Hokuspokusowi bokiem, pod wiatr:

— Serduszko!

Zaraz potem wzięli się za ręce i poszli do kina. Grano akurat film z Charlie Chaplinem, bardzo wesoły. Ale żebym nie odbiegł od tematu — sto razy wesele były te rzeczy, które tymczasem działy się w Bajkowie.

W powietrzu nad Bajkowem unosiło się bowiem zaraźliwe słowo „serduszko”.

Powiał wiatr, zawiął zaraźliwe słowo przez otwarte okno prosto do szkoły.

W szkole akurat pan nauczyciel J. B. San-danus objaśniał uczniom, z jakich części składa się ludzkie ciało. Pokazywał przy tym wskazówką poszczególne części ciała na ludzkim szkielecie.

O zaraźlh

— Tu oto — mówił właśnie pan nauczyciel wskazując wskazówką nogę szkieletu — tu oto znajduje się „serduszko”.

Biedny pan nauczyciel! Nigdy nie mógł zrozumieć, jak mogło mu się to przydarzyć! Chciał przecież powiedzieć: noga! Chciał — ale nie powiedział. W tej właśnie chwili bowiem zaraźliwe słowo wleciało mu do ucha, a on musiał je przez usta wypuścić na zewnątrz. I od tego nieszczęsnego dnia nigdy już żaden uczeń na świecie nie nazwał pana nauczyciela J. B. Sandanusa panem nauczycielem J. B. Sandanusem. Wszędzie nazywano go wyłącznie panem nauczycielem Serduszko.

A zaraźliwe słowo leciało dalej. Znów powiał wiatr i zawiął zaraźliwe słowo ze szkoły do szpitala.

— Co operujemy temu pacjentowi na stole operacyjnym? — zapytał w szpitalu dr med. Iwan Lukacz dra med. Milana Lukacza.

Dr med. Milan Lukacz chciał powiedzieć: „ślepą kiszkę”, ale z ust wyszło mu:

— Operujemy mu „serduszko”!

I zanim dr med. Milan Lukacz zdążył się poprawić, dr med. Iwan Lukacz już rozciął klatkę piersiową pacjentowi na stole operacyjnym. I zobaczył, że żyłą w piersi pacjenta wędruje akurat do jego serca szpilka z niebieskim łebkiem. Tę szpilkę połknął pacjent jeszcze w czasach, gdy był małym dzieckiem. I jeszcze chwila, a szpilka wbiłaby się pacjentowi prosto w serce i pacjent umarłby.

— Nie serduszko! — wykrzyknął dr med. Milan Lukacz. — Pomyliłem się! Chciałem powiedzieć, że operujemy mu ślepą kiszkę!

— Kto by to pomyślał, że pomyłki są takie korzystne dla ludzkiego zdrowia — powiedział dr med. Iwan Lukacz. Kciukiem i wskazującym palcem wyjął szpilkę z nie-

im słowie

« 47 »

bieskim łebkiem z żyły pacjenta i wpiął ją w klapę swego białego kitla. Potem rozciął pacjentowi brzuch i nasi cyrulicy przystąpili do pierwotnie planowanej operacji ślepej kiszki. Ale okazało się, że pacjent ślepą kishkę ma zupełnie zdrową. Ten pacjent nazywał się Jano Ciupaga.

A zaraźliwe słowo leciało dalej. Znów powiał wiatr, zawiał zaraźliwe słowo ze szpitala do budki telefonicznej.

W budce telefonicznej znajdowała się akurat pani Anastazja Bzowa i telefonowała do sklepu obuwniczego:

— Halo! Czy to sklep obuwniczy? Poproszę pana kierownika! „Serduszko”, czy przyszedł już te czerwone buciki ze srebrną klamrą?

Przed budką telefoniczną stał mąż pani Anastazji, pan Augustyn Bez, i wszystko słyszał. A pan Augustyn Bez bardzo nie lubił, żeby jego żona mówiła „serduszko” jeszcze do kogoś innego poza nim. Cóż więc dziwnego, że otworzył drzwi budki telefonicznej i krzyknął:

— Anastazjo! Odkąd to mówisz do kierownika sklepu obuwniczego „serduszko”?

A na drugim końcu drutu krzyczał do telefonu kierownik sklepu obuwniczego:

— Szanowna pani! Odkąd to jestem dla pani „serduszko”?

Biedna pani Anastazja! Zupełnie nic nie rozumiała. Chciała przecież zwrócić się do kierownika sklepu obuwniczego: „panie kierowniku”. Jakim sposobem mogło zamiast tego wyjść z jej ust słowo „serduszko”? Natychmiast rozplakała się w budce telefonicznej. Łzy padały z oczu pani Anastazji prosto na słuchawkę, a ponieważ w słuchawce są dziureczki, łzy spływały przez dziureczki do środka słuchawki, gdzie, jak wiadomo, ukryty jest delikatny mechanizm. Dzisiaj już z tej budki tele-

BAJKI I

fonicznej telefonować nie można. Delikatny mechanizm od łez pani Anastazji doszczętnie zardzewiał.

A zaraźliwe słowo leciało dalej. Raz zawiał je wiatr tu, raz ówdzie. Gdzie go nie zawiał wiatr, doleciało samo. Sto stron mógłbym napisać o tym, co też sprawiło zaraźliwe słowo. Tylko, że... jestem leniwy. Nie chce mi się napisać stu stron. Pominę zatem ogłoszenie alarmu, i nieudane szczepienie, i kłopoty pieniężne, które miał wynalazca szczepionki, nie będę się rozwodził na temat tego, jak to baj ko wianie nagrali zaraźliwe słowo na taśmę magnetofonową i taksówką wywieźli je do sąsiedniego Baj-durkowa, ponieważ i tak z Bajdurkowa już następnego dnia im zaraźliwe słowo odtelefonowano z powrotem do Bajkowa. Lepiej bez przeciągania zdradzę wam, jak się to wszystko skończyło.

Czy jeszcze pamiętacie, gdzie pracowała panna Emilia Czuła? Jakże mielibyście nie pamiętać. Pracowała ona na bajkowskiej poczcie.

Codziennie od ósmej do czwartej po południu miała za zadanie przyjmować rozmowy telefoniczne z obcych krajów i łączyć telefony w obcych krajach z telefonami obywateli Bajkowa. I każdego dnia

o czwartej przychodził wymienić pannę Emilię przy tej pracy urzędnik Hubert Hubert.

Przyszedł także dzisiaj i zapytał:

— Co nowego?

— Nic takiego — odpowiedziała jak zwykle panna Emilia. — Najwyżej tyle, że już dwukrotnie telefonowano z wyspy Borneo do mistrza krawieckiego Nitki, ale pana Nitki za każdym razem nie było w domu. Do widzenia.

I panna Emilia chciała wyjść. Ale nim zdążyła otworzyć drzwi, urzędnik Hubert Hubert zawołał:

1 NITCE

« 48 »

— Panno Emilio! Proszę jeszcze chwilę zaczekać! Muszę pani powiedzieć coś ważnego. Czy pani w ogóle wie o tym, że żyję na świecie sam jak palec, a nawet i to porównanie nie jest dobre, bo palec, czy to u ręki, czy u nogi, nie żyje na świecie sam, należy do wspólnej rodziny z pozostałymi palcami, do których może się przytulić, kiedy tylko zechce, ale mnie na tym świecie przytulić nie ma kto! Wie pani o tym?

— Wiem — powiedziała panna Emilia.

— Wie pani — powiedział urzędnik Hubert Hubert. — Ale nie wie pani czego innego! Nie wie pani, że mi już ta samotność raz na zawsze obrzydła, i dlatego postanowiłem się ożenić. A wie pani, panno Emilio, z kim?

— Nie wiem — powiedziała panna Emilia.

A urzędnik Hubert Hubert otworzył ramiona i zawołał:

— Z panią...

I chciał jeszcze powiedzieć: „serduszko”, ponieważ — jak trafnie odgadliście — właśnie wtedy przywiał wiatr zaraźliwe słowo „serduszko” na pocztę, do ucha urzędnika Huberta Huberta, a on chciał je z powrotem wypuścić na zewnątrz przez usta.

Ale akurat w tej samej chwili rozdzwonił się znowu telefon.

— To znowu dzwonią z wyspy Borneo! Proszę odebrać, panie Hubercie — zawołała panna Emilia, otworzyła drzwi i szybko się ulotniła.

Jakaż inna dziewczyna nie ulotniłaby się będąc na jej miejscu? Przecież nie mogła panna Emilia zostać i powiedzieć Urzędni-

CJ zaraźli

kowi Hubertowi Hubertowi, że zostanie jego żoną, skoro już były wydrukowane zawiadomienia donoszące o jej rychłym ślubie z czarodziejem, doktorem Hokus-pokusem. A co uczynił urzędnik Hubert Hubert?

Cóż mógł uczynić? Usta zatrzasnęły mu się bezgłośnie, nic nie uczynił. Telefon z wyspy Borneo dzwonił i dzwonił, a urzędnik Hubert Hubert wciąż jeszcze stał i stał z otwartymi ramionami i zatrzaśniętymi ustami i nie odbierał telefonu.

Opamiętał się dopiero po chwili. Opamiętał się, ponieważ czuł, że coś mu przeszkadza w zatrzaśniętych ustach. Wy oczywiście wiecie, że przeszkadzało mu zaraźliwe słowo „serduszko”, które tylko czekało na moment, gdy urzędnik Hubert Hubert znowu otworzy usta, ażeby móc znowu wylecieć. Ale urzędnik Hubert Hubert usta miał zamknięte wyjątkowo mocno. Urzędnik Hubert Hubert, zamiast otworzyć usta, pozostawił je zatrzaśnięte — i przełknął. Tym sposobem zaraźliwe słowo spłynęło wraz ze śliną do żołądka i tam rozpuściło się w soku żołądkowym Huberta Huberta.

Na tym też zakończyły się psikusy zaraźliwego słowa w Bajkowie. Od tej chwili mieszkańcy naszego miasteczka znowu wymawiali tylko zwykłe słowo serduszko i wymawiali to słowo tylko wtedy, gdy tego pragnęli.

Naturalnie — oprócz urzędnika Huberta Huberta.

Urzędnik Hubert Hubert już go nie wymówił.

Ten nawet zwykłego słowa serduszko nie zapragnął wymówić już nigdy.

stówie

« 49 »

O brzydkie

Hiszpan król Filip miał córkę Klarę, a kiedy Klara ukończyła osiemnaście lat, wysłał król Filip w świat posłów, ażeby dla jego córki szukali odpowiedniego pana młodego.

Przewędrowali posłowie cały świat i znaleźli go w Słowacji — u nas w Baj ko wie. Nazywał się Jano Ciupaga i, jak sobie trafnie przypominacie, był to nie kto inny, tylko uratowany pacjent z poprzedniej bajki.

Uradowała się hiszpańska królowna, gdy jeszcze przed panem młodym przybyła do Hiszpanii dobra wiadomość o nim. Uradowała się, że jej przyszłym mężem będzie Słowak, bo już dawno wyczytała w książkach, że Słowacy są nie tylko dzielnymi junakami, lecz także dobrymi mężami, którzy chętnie wystają w drzwiach kuchennych wiodąc długie rozmowy ze swymi żonami, a potrafią także chodzić na czworakach i szczekać jak Azorek, gdy trzeba trochę zabawić dzieci.

Gdy posłowie z Janem Ciupagą przybyli do Hiszpanii, wszystko już było przygotowane do wesela. Na spotkanie Jana Ciupagi kroczył pochód, na czele którego szedł hiszpański król Filip prowadząc pod rękę swoją córkę, królową Klarę. O krok za nimi kroczył ksiądz, który miał młodym ludziom dać ślub natychmiast po powitaniu.

Ale zdarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego. Zaledwie przyszli małżonkowie stanęli twarzą w twarz, patrzy Jano Ciupaga na hiszpańską królową i co widzi? Hiszpańska królowa Klara jest brzydka! Oczko miała tylko jedno, a i na tym miała bielmo, włosy miała siwe, nogi miała krzywe, zęba — ani jednego!

bajki i

j królowie

Zaraz się Janowi Ciupadze odechciało wesela. Wyrwał się swojej świcie i wziął nogi za pas. Zaskoczeni Hiszpanie dojrżeli tylko jeszcze z daleka, jak Jano Ciupaga odbił się od ziemi, machnął nogami, przeskoczył trzy i pół metra wysokości mające hiszpańskie mury, i tyle go widziano.

I w tej samej chwili hiszpańska królowa Klara się rozpłakała. Jak miała nie płakać, skoro jej pan młody uciekł sprzed ołtarza. I to nie pierwszy lepszy pan młody, tylko pan młody, który od pierwszego wejrzenia ogromnie jej się spodobał! Z oczu hiszpańskiej królowy łzy sypały się jak grad. Z oczu królowy padały łzy na trawę, na której akurat stała, i zatrzymywały się na roślinkach. Każda roślina, czy to mięta pieprzowa, czy lawenda lekarska, zaczęła naraz wyglądać jak roślina zwana „łzy Marii Panny”. Pytacie, jak w takim razie wyglądała roślina zwana „łzy Marii Panny”? Ech, lepiej nie pytajcie!

Płakała hiszpańska królowa, płakała, a ponieważ hiszpańskie królowy wtedy, gdy płaczą, także i śpiewają, więc tak samo i królowa Klara. Płakała i śpiewała:

Tam koło Suczy wodeńka ciecie, mój miły powiedział, że mnie już nie chce!

Piosenkę hiszpańskiej królowy nagrała spółka Supraphon na płytę długogrającą. Sprzedano kilka milionów egzemplarzy tej płyty na całym świecie i piosenka hiszpańskiej królowy stała się przebojem sezonu. Wygrała festiwal w San Remo, wygrała festiwal na Dietwie, śpiewały ją gwiazdy

i NITCE

« 50 »

И^_ i ^fc^^V

1

filmowe i listonosze, pewien marynarz nauczył jej papugę, a pewna głucha dziewczynka tak pragnęła usłyszeć tę piosenkę, że z tego wielkiego pragnienia odzyskała słuch.

A u nas w Bajkowie mieszkańcy wymogli, by zlikwidowano sklep z towarem mieszanym, a zamiast niego otwarto sklep z płytami gramofonowymi. Właściwie — tylko z jedną płytą gramofonową. Tą, na której śpiewała hiszpańska królowa.

Ale co miała z tego hiszpańska królowa? Nic a nic.

Jej płacz nie ustawał ani na chwilę i cała Hiszpania powleczone była czarnym sukniem, a wszyscy hiszpańscy ogrodnicy hodowali czarne lilie.

A co w tym czasie robił nasz Jano Ciupaga?

A co miał robić — topił się.

Zaraz za hiszpańskimi murami znajdowało się bowiem morze. I kiedy nasz Jano Ciupaga przeskoczył przez ten trzyipół-metrowy mur, to chlup! — chlupnął prosto w to morze. A cały

szkopuł był w tym, że w Słowacji nie ma morza, więc Jano Ciupaga nie wiedział, jak się w morzu pływa. Machał rękami, machał nogami i w ten sposób chciał dopluskać się z powrotem na hiszpański brzeg. Ale to machanie rękami i nogami miało zupełnie odwrotny skutek: hiszpański brzeg zginął Janowi Ciupadze z oczu i dopluskał się na środek morza. Byłby już Jano Ciupaga poddał się losowi, byłby przestał machać rękami i nogami, niechby sobie morze z nim zrobiło, co mu się podoba, gdyby w ostatniej chwili przed utonięciem nie dojrzał na horyzoncie statku.

Wyteżył Jano Ciupaga resztkę sił i znowu zaczął machać rękami i nogami. A ponieważ już się poduczył, jak się pływa w morzu, nie starał się przybliżyć do statku, tylko wprost przeciwnie — starał się od niego oddalić. Plan był rozsądny. Ani się

O brzydkiej królownie

«

51»

Jano Ciupaga obejrzał, a już przybliżył się do statku.

Uradowany wyciągnął obie ręce, uchwycił się burty statku i wspiał się na pokład. I ze zdziwienia o mało nie spadł z powrotem w morze!

Statek, na który wgramolił się Jano Ciupaga, był bardzo mały. Niewiele większy od damskiej walizeczki. Mała też była śruba okrętowa kręcąca się przy burcie statku i popychająca statek do przodu. Niewiele większa od klamki u drzwi. Był to prawdziwy cud, że Jano Ciupaga utrzymał się na takim małym statku. Cudem było także i to, że ten mały statek nie zatonął razem z Janem Ciupagą. Prawdopodobnie nie zatonął dlatego, że oprócz śruby przy burcie miał jeszcze ten statek na pokładzie śmigło, które go odciążało. Śmigło kręciło się, a ze śmigła płynęła muzyka. I Jano Ciupaga, przyjrawszy się lepiej temu śmigłu, zawołał: — Chachacha! Przecież to nie żadne śmigło, tylko płyta gramofonowa! A to, co się kręci przy burcie, to nie żadna śruba okrętowa, tylko korb! A to, na czym płynę, to nie mały statek, tylko wielki gramofon korbowy!

I rzeczywiście, był to wielki gramofon korbowy. Była to jedyna rzecz, jaka ocalała z wielkiego oceanicznego statku. Statek ten rozbił się podczas burzy i już od dawna spoczywał na morskim dnie, lecz gramofon z tego statku nadal pływał po powierzchni i grał, a na gramofonie płynął Jano Ciupaga i słuchał, co gramofon gra, i oto co słyszał:

Tam koło Suczy wodeńka ciecze, mój miły powiedział, że mnie już nie chce. bajki r

Końca tej bajki łatwo już się domyślicie. Jano Ciupaga w głosie śpiewającym tę piosenkę rozpoznał głos hiszpańskiej królowny Klary. I odgadł, że hiszpańska królowna Klara śpiewa piosenkę o nim. To go wzruszyło. Niech sobie będzie hiszpańska królowna Klara jaka chce brzydka, myślał wzruszony Jano Ciupaga, niech sobie będzie jaka chce brzydka, ale mnie kocha. Tak mnie kocha, że śpiewa o mnie. Gdzie jeszcze na świecie znajdę żonę, która tak by mnie kochała, że śpiewałaby o mnie? Nigdzie. Skierował Jano Ciupaga gramofon we właściwą stronę i wrócił do Hiszpanii.

A w Hiszpanii zaraz po jego powrocie odbył się słynny ślub.

Ksiądz zapytał:

— Drogi panie młody! Czy jesteś gotów kochać królownę Klarę, nawet jeśli będzie miała tylko jedno oczko?

— Jestem gotów ją kochać — odpowiedział Jano Ciupaga.

— Także wtedy, gdy i na tym jednym oczku będzie miała bielmo? — pytał ksiądz.

— Także wtedy — odpowiedział Jano Ciupaga.

— Także wtedy, gdy będzie miała siwe włosy?

— Także!

— Także gdy będzie miała krzywe nogi?

— Także!

— Także kiedy nie będzie miała ani jednego zęba?

— Oczywiście! — zawołał Jano Ciupaga. — A jeśli ktoś zechce się z niej wyśmiewać, to też zostanie bez zębów!

— Jesteście zatem małżonkami — powiedział ksiądz.

A wówczas hiszpańska królowna Klara zdjęła maskę i Jano Ciupaga zobaczył, że

. NITCE

« 52 »

..

T

jest niezwykle piękna. W Hiszpanii bowiem jest taki zwyczaj: panna młoda przychodzi do ślubu w bardzo brzydkiej masce, a pan młody musi przyrzec, że będzie ją wiecznie kochał, nawet gdyby z nią i jej urodą stało się w życiu nie wiadomo co. Szkoda, że Jano Ciupaga nie znał wcześniej tego hiszpańskiego obyczaju. Nie musiałby przeskakiwać przez trzyipółmetrowy mur i walczyć o swoje życie z morskimi falami. Tylko że wtedy z kolei świat zostałby pozbawiony jednej pięknej piosenki. A tak nie został jej pozbawiony, a wkrótce po-

płynęła z Hiszpanii w świat jeszcze jedna piosenka, która była jeszcze piękniejsza. A była taka:

Tam koło Suczy wodeńka nie ciecze, mój miły powiedział, że mnie już chce!

Tylko w Suczy z tej piosenki ludzie się nie cieszyli, bo zostali bez wody. Ale tak to już bywa — każdemu dogodzić nie sposób.

O powolnym sprzedawcy

sposrzedżono by to w każdym innym mieście — spostrzeżono to także w Bajko-wie. Co takiego? Ano to, że bez sklepu z towarem mieszanym żyć się nie da. Ze starego zrobili sobie sklep z płytą gramofonową — otworzyli zatem nowy. Właściwie nie otworzyli, właściwie — otworzył. Otworzył go pan sprzedawca Maciej Pośpiech, takim drążkiem z hakiem na końcu. Zaledwie nowy sklep został otwarty, przed ladą pojawiła się kolejka. Jakże mogło być inaczej! Każdemu w gospodarstwie domowym brakowało już wszystkiego, co tylko było możliwe. Kolejka ze sklepu wychodziła aż na ulicę, ciągnęła się wzdłuż ulicy aż do ostatniego domu, i tam skręcała za róg. Nie widzę tego, co za rogami, więc nie mogę powiedzieć wam dokładnie, gdzie się ta kolejka kończyła. Wiem jednak na pewno, że każdy stojący w kolejce miał przy sobie torbę, a kto nie miał torby, ten miał dwie. Za wyjątkiem ciotki Anny Pustułki, która była pierwsza w kolejce i torby miała trzy.

— Już ja dziś nakupię wszystkiego mnóstwo — powiedziała ciotka Anna Pustułka. — Na początek, panie sprzedawco, poproszę o kilo cukru w kostkach.

— Kilo cukru w kostkach — powtórzył Maciej Pośpiech sam do siebie i umieścił na wadze papierową torebkę. Potem nabrał z wielkiego papierowego worka pełną szufelkę cukru w kostkach. Ostrożnie potrząsnął szufelką nad torebką i z szufelki pac! — pacnęła do torebki jedna kostka cukru. Maciej Pośpiech zaczekał, aż waga, która trochę się rozkołysała, znowu się ustali, a potem sprawdził, ile waży jedna kostka cukru. I cóż zobaczył? Ano zobaczył, że waży doprawdy mało. A zatem znowu ostrożnie potrząsnął szufelką nad torebką i z szufelki pac! — pacnęła do torebki druga kostka cukru.

O powolnym sprzedawcy

« 55 »

— Chyba nie zamierza pan tego kilograma cukru ważyć po jednej kosteczce? — zawołała przerażona ciotka Anna Pustułka.

— Muszę — odpowiedział Maciej Pośpiech i bezradnie wzruszył ramionami. — Zazwyczaj ważę cukier po pół kostki, ale dziś bardzo się śpieszę, bo — niech pani spojrzy — ile ludzi stoi jeszcze za panią!

— On oszalał! — zawołali chórem wszyscy klienci stojący w kolejce.

Sprzedawca Maciej Pośpiech zczekał, aż waga, która znowu trochę się rozkołysała, ponownie się ustali, a zobaczywszy,

że i dwie kostki cukru ważą mało, znowu ostrożnie potrząsnął szufelką i z szufelki pac! — pacnęła do torebki trzecia kostka cukru. Potem Maciej Pośpiech zapytał:

— Mówiliście coś państwo?

I tego już ani ciotka Anna Pustułka, ani pozostali klienci nie wytrzymali.

— Do urzędu miejskiego! — zawołała ciotka Anna Pustułka, chwyciła torebkę z trzema kostkami cukru, rzuciła na ladę koronę, i ruszyła.

— Do urzędu miejskiego! — zawołali także pozostali klienci, chwycić nie mieli

BAJKI NA NITCE

« 56 »

czego, na ladę nic nie rzucili, i ruszyli za nią.

W urzędzie miejskim przyjęli delegację naszych klientów urzędnicy miejscy. Wysłuchali miejscy urzędnicy skargi na powolnego sprzedawcę Macieja Pośpiecha, a ponieważ skargę wносиła ciotka Anna Pustułka, natychmiast sprawa została załatwiona. Jakżeby inaczej! Jeśli ktoś jest pierwszy w kolejce kupujących, także i miejscy urzędnicy wolą oglądać jego plecy niż twarz.

Ani się obejrzał Maciej Pośpiech, jak otrzymał zawiadomienie, że mieszkańcy nie są zadowoleni z jego pracy i że w Bajkowie jest już niepotrzebny.

Słuchajcie jednak, co działo się dalej. Zrobiła sobie nasza ciotka Anna Pustułka na drugi dzień herbaty. I tę herbatę osłodziła jedną z trzech kostek cukru, które jej zważył nasz nieszczęsny sprzedawca. I ta herbata była słodka-przesłodka. Nigdy jeszcze ciotka Anna Pustułka takiej słodkiej-przesłodkiej herbaty nie piła. A gdy ją wypiła, spojrzała na dno filiżanki. I co zobaczyła? Kostka cukru na dnie filiżanki była cała! Ubyła z niej tylko taka odrobinka, że ciotka Anna Pustułka w ogóle tego nie zauważyła.

„Cud"! — pomyślała ciotka Anna Pustułka. Dwie kostki pieczołowicie schowała na gorsze czasy, ale tę jedną, którą zaczęła już używać, pożyczyła sąsiadce. A ta pożyczyła ją następnej sąsiadce, tamta następnej i wędrowała kostka z mieszkania do mieszkania i z domu do domu i wszędzie słodzono nią sobie herbatę i każda herbata osłodzona tą kostką była słodka-przesłodka i zawsze, gdy ją wypito, znajdowano na dnie kostkę cukru całą! Ubywało tej kostki po takiej odrobinie, że nikt w ogóle tego nie zauważył.

Od razu domyślili się ludzie, o co chodzi! Od razu domyślili się, że ten cukier dlatego musi się tak powoli zużywać, bo go powolny sprzedawca Maciej Pośpiech tak powoli sprzedawał. A więc nie zwlekając udali się znowu wszyscy do urzędu miejskiego i tam przedłożyli miejskim urzędnikom prośbę, ażeby zaraz i natychmiast wezwano powolnego sprzedawcę ponownie do Bajkowa.

Urzędnicy miejscy w Bajkowie byli tacy, jak urzędnicy miejscy wszędzie na świecie. Bali się skarg — nie bali się prośb. Uwzględnili skargę, przy prośbie uśmiechnęli się:

— No cóż, drodzy obywatele! Skoro chcecie, byśmy wezwali powolnego sprzedawcę ponownie do Bajkowa, musicie najpierw sprawdzić, gdzie ten powolny sprzedawca się znajduje. Oznajmiliśmy mu, że go w Bajkowie nie potrzebujemy, ale dokąd się z Bajkowa uda, o to go nie pytaliśmy.

Usłyszawszy to ludzie zaczęli powolnego sprzedawcy Macieja Pośpiecha szukać po całym świecie. Choćby przez ciekawość przeczytajcie wezwanie, jakie zamieścili we wszystkich gazetach świata:

DROGI SPRZEDAWCO
MACIEJU POŚPIECHU!
WRÓĆ NA MIEJSCE,
Z KTÓREGO CIĘ WYPĘDZILIŚMY!
POWOLNOŚĆ WYBACZYLIŚMY CI,
A W DODATKU NAWET JĄ
POLUBILIŚMY!
TWOI MIESZKAŃCY BAJKOWA.

A zapytajcie mistrza krawieckiego, pana Nitkę, kiedy w swoim życiu miał najwięcej pracy — odpowie wam, że wtedy, gdy wszyscy mieszkańcy Bajkowa zostali detektywami. Dzień i noc musiał dla wszystkich szyć detektywistyczne przebrania. Nic dziwnego, że choć zwykły szyć sam, naru-

O powolnym sprzedawcy

« 57 »

szył ten dobry zwyczaj przyjmując ucznia, o którym przeczytacie już w następnej bajce. Przez cały rok szukali mieszkańcy Bajkowa na ziemi, pod wodą i w powietrzu — wszystko na próżno. Macieja Pośpiecha jakby pochłonęła ziemia, woda i powietrze. Nawet na wezwanie się nie zgłosił.

Gdy minął rok, ludzie zrezygnowali i zaniechali szukania Macieja Pośpiecha. Ale nie zapomnieli o nim. Nadal pożyczali sobie tę wieczną kostkę cukru, którą ciotka Anna Pustułka puściła w obieg. A słodząc nią sobie herbatę wyobrażali sobie zawsze wieczny imbir, wieczną kawę, wieczny sok porzeczkowy, wieczną sól i rodzyнки, i wiecznego śledzia, i żałowali, żałowali utraty powolnego sprzedawcy.

A wy, oczywiście, jesteście ciekawi, gdzie się właściwie podział powolny sprzedawca. No a gdzie miałby się podziać? Nie podział się nigdzie. Kiedy Maciej Pośpiech dowiedział się, że już nie może być sprzedawcą w Bajkowie, wszedł do komórki za sklepem, zdjął biały kitel i chciał go powiesić na gwoździu. Ale gwoździec jakoś mu się nie widział.

— Utrzyma go? — zastanawiał się Maciej Pośpiech. — Coś mi się zdaje, że nie utrzyma.

Ale po chwili pomyślał:

— A dlaczego miałby nie utrzymać? Coś mi się zdaje, że utrzyma!

I powiesił biały kitel na tym właśnie gwoździu i gwoździec rzeczywiście ten kitel utrzymał. Maciej Pośpiech wyszedł z komórki, wyszedł z domu, wyszedł z Bajkowa i ruszył w szeroki świat. Ale było to dopiero wtedy, gdy już ani w Bajkowie, ani w szerokim świecie nikt go nie szukał.

Ponieważ ta chwila zastanawiania się nad gwoździem zajęła naszemu powolnemu sprzedawcy cały rok i jeszcze jeden dzień.

Nie dziwcie się więc zanadto, że chociaż większość bajek moich i Andersena kończy się weselem — ta się nim nie kończy. Powolny sprzedawca Maciej Pośpiech jest taki powolny, że jeśli się ożeni o tysiąc bajek dalej, i tak będzie to szybko.

Ale skoro już tak bardzo tego wesela pragniecie — niech wam będzie. Ciotka Anna Pustułka wyszła za mąż za jednego z urzędników miejskich. Jeśli chcecie — niech będzie, że za samego starostę. A to ich wesele trwało tak długo i wypito na nim tak wiele herbaty, że wszystkie trzy czarodziejskie kostki cukru zużyto na jej słodzenie.

BAJKI NA NITCE

« 58 »

K,

O baśniowej nici

Jo czyta porządnie i nic nie opuszcza, ten wie, że u nas w Bajkowie mieszkał także mistrz krawiecki, pan Szymon Nitka, który miał nowego ucznia. Nowy uczeń miał na imię Benjamin. I do tego nowego ucznia mówił pan Nitka każdego ranka:

— Mam w szafie kłębek i ten kłębek jest cenny, bo to jest kłębek baśniowych nici. Użyj go, gdy będę kiedyś szyć baśniową suknię. Do tego czasu niech nikt nie waży się go nawet dotknąć!

Tak, zgadliście. Uczeń Benjamin dotknął cennego kłębka. I gdybyż tylko dotknął! W pewną sobotę, gdy pan Nitka tak jak zazwyczaj zaraz po południu poszedł do gospody na piwo i każdy w domu wiedział,

że z tego jednego piwa zrobi się dziesięć piw i pan Nitka wróci do domu dopiero późnym wieczorem, Benjamin wykorzystał nieobecność majstra i pożyczył sobie z szafy pana Nitki kłębek baśniowych nici i po chwili był już z kłębkim na łące. Tak, znowu zgadliście. Nie tylko z kłębkim, ale i z latawcem, ponieważ była jesień, czas latawców.

Ach, gdybyście mogli zobaczyć, jak wspaniale latawiec Beniamina wzniósł się w górę! Jakby nigdy nic zostawił daleko w tyle latawce wszystkich pozostałych chłopców

O baśniowej nici

« 59 »

i stał się latawczykiem, potem latawczątkiem, a potem już tylko małą czarną kropką wędrującą po niebie. Zanim się Benjamin obejrzał, także i ta mała czarna kropka zniknęła za horyzontem, a zaskoczony Benjamin stał pośrodku łąki i czuł, jak coś go szarpie za mały palec. Na mały palec miał bowiem nawinięty drugi koniec baśniowej nici pana Nitki. I stał Benjamin pośrodku tej łąki zupełnie sam, ponieważ pozostali chłopcy widząc, jak wysoko wzleciał latawiec Beniamina, stracili ochotę na puszczanie latawców i poszli do domów. Beniaminowi samotny pobyt na łące też się zanadto nie podobał, postanowił zwinąć z powrotem nitkę, ściągnąć latawiec z nieba i także pójść do domu. Jak postanowił, tak też chciał uczynić. Zaczął zwijać nitkę. Ale — wiecie, jak to bywa. Gdy się nitkę popuszcza, latawiec leci, a chłopiec może

BAJKI NA NITCE

«60

»

stać. Ale gdy się nitkę zwija, latawiec nie ma ochoty wracać i zwijający chłopiec musi iść za nim. Zwijał Benjamin nitkę, zwijał, i ani się obejrzał, jak znalazł się daleko za Bajkowem. A zapadł już zmierzch i na niebie pojawiła się gwiazda wieczorna.

— Beniaminie! — przemówiła gwiazda wieczorna. — Nie wydaje ci się, że powinieneś już wracać?

— Powiniennem wracać, oj, powiniennem — odpowiedział Benjamin gwiazdzie wieczornej.

— Ale jak mogę wrócić bez nici? Muszę ją przecież zwinąć!

— Hm — powiedziała gwiazda wieczorna. — A gdybyś tak nie zwijał jej całej? Gdybyś tak zwinął tylko połowę, a drugiej połowie pozwolił odlecieć z latawcem?

I gwiazda wieczorna wysłała dwa promienie, a nitka znalazła się pomiędzy tymi dwoma promieniami jak w nożyczkach. A gwiazda wieczorna zapytała:

— Ciąć?

— Nie! — zawołał Benjamin. — Nie ciąć! Bardzo to miło z twojej strony, gwiazdo wieczorna, że chcesz mi pomóc, ale w ten sposób bynajmniej byś mi nie pomogła! Pan Nitka ma dobrą pamięć, pamięta, ile nici było na kłębku. Boję się nawet pomyśleć, co by ze mną zrobił, gdyby zauważył, że na kłębku brakuje połowy nici!

— Więc przynajmniej zagram ci do marszu, żeby ci się weselej zwijało! — powiedziała gwiazda wieczorna.

I zaczęła swoimi promieniami przeciągać po nitce, jak gdyby te promienie nie były promieniami, tylko smyczkiem, i jakby ta nić nie była nicią, tylko struną skrzypiec. Benjamin

słyszał raz w radiu o słynnym skrzypku, który nazywał się Paganini. Ten słynny skrzypek Paganini grał na pewnym koncercie tak ogólnie, że popękały mu

O baśni:

wszystkie struny oprócz jednej. Wszyscy ludzie myśleli, że już po koncercie, lecz słynny skrzypek Paganini nie przestał grać i grał nadal na tej jednej strunie i grał na niej tak pięknie, jak gdyby grał na wszystkich czterech, a może nawet jeszcze piękniej. Tak opowiadano w radiu. Lecz teraz, słuchając, jak pięknie dźwięczy ta jego nić, na której grała gwiazda wieczorna, pomyślał, że gdyby nawet ten słynny skrzypek Paganini grał na tej jednej strunie nie wiadomo jak pięknie, nie mogła to być muzyka piękniejsza od tej, którą on, Benjamin, słyszy teraz. Ale tu Benjamin nieco krzywdził słynnego skrzypka Paganiniego. A to dlatego, że gdy ten słynny skrzypek grał na jednej strunie, to grał na niej tylko jednym smyczkiem. A na baśniowej nici Beniamina grały tysiące, tysiące smyczków, ponieważ w ślad za gwiazdą wieczorną weszły jeszcze tysiące, tysiące gwiazd, a wszystkie te gwiazdy, jak wiecie, chcą robić to samo, co robi gwiazda wieczorna. Gdy więc gwiazdy ujrzały, że gwiazda wieczorna gra na nici, opuściły z nieba swoje promienie jak smyczki i także zaczęły grać na nici.

Właśnie o tej porze wracał mistrz krawiecki pan Szymon Nitka z gospody, od swego piwa, które rzeczywiście przemieniło się w dziesięć piw. Wracał nocną ulicą, a wracając tak mamrotał pod nosem:

— Ach, jakże mi po tych dziesięciu piwach dobrze na duszy! Jakby ktoś wyjął mi z uszu watę i jakbym słyszał to, czego normalnie nie słyszę! Na przykład powietrze! Wydaje mi się, że powietrze pełne jest baśniowej muzyki! Wypadałoby teraz, gdy mam taki baśniowy nastrój, że słyszę baśniową muzykę, uszyć tę baśniową suknię, którą zamierzam uszyć od tyłu lat!

Suknię z samych różanych płatków, ozdobioną
vej nici

« 61 »

kroplami rosy? Albo może suknię z samych kropeł rosy, ozdobioną różanymi płatkami?

Zdecyduję się, gdy nawłokę igłę baśniową nicią!

I pan Nitka zaczął podskakiwać jak mały chłopiec i podskakując dotarł do domu. A w domu od razu skierował się do szafy, w której miał schowany kłębek baśniowych nici. Wielki był zawód pana Nitki, gdy nie znalazł w szafie kłębka! Zaraz zaczął szukać ucznia Beniamina. A stwierdziwszy, że w domu nie ma także ucznia Beniamina, zaczął pan Nitka pomstować i pomstował tak, że z krzewów różanych w ogrodzie opadały różane płatki, a rosa spadająca właśnie z nieba przeleciała się i zawróciła z powrotem w górę. I trzęsło się nie tylko wszystko w pobliżu, lecz nawet i latawiec Beniamina, który w tej chwili właśnie unosił się już nad wyspą Borneo.

Na wyspie Borneo wybuchła panika. Nie mogła nie wybuchnąć, skoro w proroczych księgach wyspy stało napisane:

„Pewnego dnia nad wyspą Borneo pojawi się latawiec i będzie się strasznie trząść i sprowadzi na mieszkańców wyspy nieszczęście. W końcu jednak zostanie pokonany przez dzielnego młodzieńca, który potem zostanie królem wyspy Borneo.”

No więc gdy mieszkańcy wyspy Borneo ujrzeli na niebie trzęsący się latawiec Beniamina, przypomnieli sobie to, co stało w proroczych księgach i przekonali się, że prorocze księgi nie kłamały.

Nieszczęście na horyzoncie!

Nie wiedzieli wprawdzie, jakie nieszczęście, ale dla pewności puciekali ze swoich domów i ukryli się w głębokich lasach. Wykorzystali to mieszkańcy sąsiednich wysp i okradli opuszczone domy mieszkańców wyspy Borneo. Kiedy kogoś okrad-

bajki r

ną, jest to oczywiście nieszczęście. Proroctwo wypełniało się słowo w słowo. I wypełniło się aż do końca!

W trzy dni później przywędrował na wyspę Borneo nasz Beniamin, zwinął ostatni kawałek nitki i latawiec spłynął z nieba do jego stóp.

Łatwo domyślicie się, co było dalej. Mieszkańcy wyspy Borneo wybiegli z lasów i ogłosili Beniamina królem. A żeby tytuł królewski pozostał w rodzinie, dotychczasowy król wyspy niezwłocznie nakazał przygotowania do ślubu dzielnego młodzieńca ze swoją najpiękniejszą córką.

A czy majster Nitka dowiedział się o tym ślubie? Pewnie, że się dowiedział! Otrzymał przecież paczkę, a w niej list następującej treści:

Drogi Panie Majstrze!

Po pierwsze jak najserdeczniej Pana i Panią Majstrową pozdrawiam. Po drugie proszę Pana, żeby Pan nie gniewał się na mnie, że sobie od Pana pożyczyłem kłębek baśniowych nici, które załączam. Przy pomocy tego kłębka osiągnąłem wielkie szczęście — jestem królem wyspy Borneo i wkrótce będzie mój ślub z najpiękniejszą córką byłego króla. I dlatego — po trzecie — zwracam się do Pana z wielką prośbą: czy nie uszyłby Pan baśniowej sukni ślubnej dla mojej narzeczonej? Na szybką Pańską odpowiedź cieszy się Pański były uczeń

Beniamin Król
wyspa Borneo

Przeczytał pan Nitka list, włożył kłębek baśniowych nici do szafy, a że akurat była sobota — poszedł na piwo. Z piwa zrobiło się dziesięć piw, z dnia zrobiła się noc, a pan Nitka maszerował nocną ulicą mamrocząc pod nosem:

i NITCE

« 62 »

— No tak! Dziesięć piw już wypilem i teraz będzie mi po nich dobrze na duszy! Teraz znowu będzie mi tak, jakby ktoś wyjął mi z uszu watę, a ja usłyszę baśniową muzykę. A jak tylko ją usłyszę, pójdę do domu, nawłokę igłę baśniową nitką i uszyję dla narzeczonej mego ucznia Beniamina baśniową ślubną suknię.

Ale — jakżeby inaczej — pan Szymon Nitka żadnej baśniowej muzyki nie usłyszał. Jakże miał ją usłyszeć, skoro kłębek baśniowych nici leżał w szafie? Nie miała na czym grać gwiazda wieczorna z pozostałymi gwiazdami.

— Nic to — powiedział sobie pan Nitka. — Może usłyszę baśniową muzykę za tydzień. Ale nie usłyszał. Ani za tydzień, ani za dwa. A na wyspie Borneo nie mogli ślubu tak długo odkładać. Telefonowali do nas do Bajkowa dwukrotnie — nie mogli się dodzwonić do pana Nitki. Na poczcie powiedziano im, że chyba poszedł na piwo. A gdy telefonowali po raz trzeci, już nawet na poczcie nikt telefonu nie odbierał. Więcej nie dzwonili. Sami uszyli sobie baśniową suknię.

Zaś pan Nitka, nie doczekawszy się baśniowej muzyki, pogodził się ostatecznie z myślą, że nigdy żadnej baśniowej sukni nie uszyje. I nadal szył tylko takie zwyczajne. A trzeba powiedzieć, że pan Nitka był mistrzem krawieckim, który*nie miał sobie równego szeroko, daleko i zwyczajne suknie szył bardzo dobrze. A co z kłębkami baśniowych nici? Pan Nitka je sprzedał. Komu? Mnie!

A ja ten kłębek baśniowych nici rozwinąłem i tę baśniową nić przewlokłem przez tę książkę. Potem obydwie końce baśniowej nici związałem na węzełek — i książka była gotowa.

A jeśli ten, kto ma tę książkę, usłyszy czasem baśniową muzykę, niech się nie dziwi.

Baśniowa nić jest rozwinięta! Mają gwiazdne i słoneczne promienie na czym grać!

O baśniowej nici

« 63 »

IIIIIIr

IIIIr^''''''''''''

BAJKI O NAS

^ .-

Bajka bez głowy

co nam po „Bajkach na nitce”, skoro — A co mi po „Bajkach na nitce”,
nie są o nas! — zawołali Marcin i Łubka, skoro nie są o mnie!

I nawet mała Oleńka powiedziała: Mają rację, pomyślałem, i zacząłem
— Auauuee! pisać trzecią część „Błękitnej księgi bajek”

A to w języku niemowląt oznacza: — „Bajki o nas”. A żeby żadne z moich

BAJKI O NAS

« 66 »

dzieci nie obraziło się, że wcześniej zacząłem opowiadać o tym drugim czy też trzecim, więc temu, o którym jest ta pierwsza bajka, nie widać głowy, i bajka nazywa się „Bez głowy”. Już ją opowiadam, posłuchaj, dziecko nie wiadomo które!

Gdyby na tym śladzie, który zrobiła twoja nóżka dziś, umieścić ten ślad, który zrobiła twoja nóżka wczoraj, a na nim ten ślad, który zrobiła twoja nóżka przedwczoraj, i tak dalej — powstałaby piramida śladów.

A gdyby ta piramida śladów przewróciła się i gdyby ślady się rozsypały i leżały na ziemi obok siebie, ludzie myśleliby, że było tu wiele dzieci: jedno małe, potem jedno większe, potem jedno większe od tego większego, i tak dalej, a ja powiedziałbym im:

— Mylicie się! Było tutaj tylko jedno moje dziecko i wszystkie te ślady są jego, tylko że codziennie rosną mu nogi i już nigdy nie zrobi takiego małego śladu jak wczoraj, a nawet takiego małego śladu, jak przed chwilą.

A gdy urosną ci nogi, zaczną ci rosnąć także ręce i będą coraz większe i większe, aż naraz zrobią się takie wielkie, że głowa zmieści ci się w garści.

A ludzie spotykając cię będą pytać:

— A cóż to za dziecko bez głowy?

A ty tymczasem będziesz się z nich śmiać przez palce.

Ale potem szybko wypuścisz głowę z garści, żeby i ona mogła zacząć rosnąć.

Mówicie, że rośnie się inaczej?

W „Bajce bez głowy” rośnie się właśnie tak.

A gdy i głowa ci urośnie...

Ale to już nie jest temat do „Bajki bez głowy”.

Ki

Co malowała Olga

Aedy jeszcze Olga nie była moją żoną, marzyła o takim kwiecie, który miałby każdy płatek innego koloru. Ogłosiła, że wyjdzie za mąż tylko za tego, kto jej taki kwiat przyniesie.

Oczywiście nikt nie przyniósł jej takiego kwiatu i nie miała za kogo wyjść.

Usłyszałem i ja o niej i o jej osobliwym życzeniu. Poszedłem do niej i powiedziałem:

— Moja droga, kwiat mający każdy płatek innego koloru nie rośnie nigdzie na świecie. Ale skoro już koniecznie chcesz

Przyjęła mnie, a ja w kącie jej ogrodu wyhodowałem biały kwiat.

— Ach — zawołała Olga, gdy przyszła obejrzeć moją pracę. — Nie udało się! Twój kwiat nie ma każdego płatka w innym kolorze! Twój kwiat jest tylko biały! Nie mogę za ciebie wyjść!

— Szkoda — powiedziałem. — No to idę do domu. Ale przyjmij ode mnie w prezencie te akwarele, a żeby ci po mnie została przynajmniej jakaś pamiątka.

Olga wzięła farby, a ja poszedłem do
taki kwiat mieć, przyjmij mnie za swego domu. Przespałem w domu tylko jedną ogrodnika, a
ja postaram się taki kwiat noc, a już przybył poseł od Olgi: mam wyhodować.
ponoć natychmiast wracać, bo stał się cud:

Co malowała Olga

« 67 »

w ciągu nocy mój biały kwiat stał się — Moja droga — uśmiechnąłem się pod
kolorowy! I każdy jego płatek jest innego wężem. — Dlaczego masz takie poplamione
koloru! Olga wyjdzie za mnie! — palce?

No i było wesele. Po weselu goście się — Malowałam tymi farbami, które mi
rozeszli, a ja zostałem sam ze swoją żoną — dałeś — powiedziała Olga.

Olga.

— A co malowałaś? — pytałem.

— Co malowałam, to malowałam — uśmiechnęła się Olga. — Po co pytasz, jeśli nie wiesz?

W nocy padał deszcz, a rano mój kwiat znowu był biały.

Ale Olga już została moją żoną. Wiecie przecież — mamy ze sobą troje dzieci.

Co mówicie, że pisałem już o tym, jak Olga została moją żoną w bajce zwierzęcej „O rybce
Rebecce”, i to zupełnie inaczej?

To mi się nie zdarza. Chyba wam się tak tylko zdawało.

BAJKI O NAS

« 68 »

Trzy bajki o zębach

Jl ewnego dnia zadzwoniono do mnie z ośrodka zdrowia:

— Skoro już pisze pan te „Bajki o nas”, niech pan napisze o swoich dzieciach taką, po
przeczytaniu której ludzie zaczęliby lepiej pielęgnować swoje uzębienie. Niech pan wspomni
o tabletkach fluorowych wywołujących reakcję chemiczną korzystną dla szkliwa nazębnego.
Szkliwo staje się bardziej odporne na działanie kwasów i zęby się nie psują. To przecież
temat jakby stworzony na bajkę, może nie?

— Tak — powiedziałem. — Tylko że wiecie państwo, jak to jest z moimi zębami. Ludzie
pomyśla, że nie wypada, aby człowiek mający w ustach takie pobożowisko dawał innym rady,
jak mają pielęgnować uzębienie.

— Co tam pańskie zęby — powiedziano na drugim końcu drutu. — Zajmiemy ludzi
czytaniem pańskiej bajki i nikt nie będzie miał czasu zaglądać panu do ust.

To brzmiało zachęcająco! Zabrałem się do pracy i napisałem nie jedną bajkę o zębach, ale od
razu trzy.

Napisałem po jednej o zębach każdego z moich dzieci.

Pierwsza bajka o zębach

Był sobie pewien chłopiec, ten chłopiec nazywał się Marcin i ten Marcin miał wiele
krzesetek.

Czyżby był właścicielem kina?

Skądże, nie był właścicielem kina.

No więc skąd wziął tyle krzesetek?

Skąd wziął, to wziął. Jedno kupiła mu babcia na urodziny, a pozostałe wyrosły mu w ustach.

Krzesetko, które kupiła mu babcia, było maleńkie, białe.

I krzesetka, które wyrosły mu w ustach, też były maleńkie, białe.

Na krzesetku, które kupiła mu babcia, Marcin siedział.

A krzesetkami, które wyrosły mu w ustach, gryzł.

No i posłuchajcie, jaki był ten Marcin. Nie szanował krzesetek.

Na tym krzesetku, na którym siadywał, ciągle się kołysał. Na próżno mamusia mówiła:

— Nie kołysz się, Marcinie, na tym krzesetku, bo je zupełnie rozchwiejesz i połamie ci się.

Marcin kołysał się nadal. A tych krzeselek, którymi gryzł, w ogóle nie mył. Na próżno mamusia mówiła:

— Myj, Marcinie, te krzeselka, bo się popsują i będą cię bolały.

Marcin nadal nie mył krzeselek.

I cóż się stało? Stało się to, co przepowiedziała mamusia.

Krzeselko, na którym Marcin siadywał, rozchwiało się i połamało.

A krzeselka, którymi Marcin gryzł, popsuły się i zaczęły Marcina boleć.

— Co mam począć z krzeselkiem, które się rozchwiało i połamało? Przecież teraz nie można na nim siedzieć! — zawołał nieszczęśliwy Marcin.

— Musisz powiedzieć ojcu, żeby je naprawił — powiedziała mamusia.

Trzy bajki o zębach

« 69 »

Przyszedł więc Marcin z krzeselkiem do mojego gabinetu i poprosił mnie, żebym mu je naprawił.

— A co mam zrobić z krzeselkami, które się popsują i zaczęły mnie boleć? Przecież teraz nie można nimi gryźć! — zawołał nieszczęśliwy Marcin wróciwszy z mojego gabinetu do mamy, do kuchni.

— Musisz z nimi pójść do dentysty, żeby je naprawił — powiedziała mamusia.

Ale Marcin o dentyście nawet słyszeć nie chciał.

— Moje krzeselka boją się dentysty! — powiedział.

Usłyszałem to, wyszedłem z mojego gabinetu i mówię: „Masz tu, Marcinie, krzeselko”.

— Ależ ono jeszcze nie jest naprawione! — zawołał Marcin obejrzawszy krzeselko.

— Nie jest i nie będzie — powiedziałem.

— Ale dlaczego? — zawołał Marcin.

— Dlatego, że to krzeselko boi się mnie i nie daje się naprawić — powiedziałem.

— Krzeselko do siedzenia boi się? Bzdura! — zawołał Marcin.

— Taka sama, jak ta, że boją się krzeselka do gryzienia — powiedziałem i nadaremnie Marcin się opierał, zaprowadziłem go do dentysty.

Dentysta naprawił Marcinowi krzeselka do gryzienia, a ja z kolei naprawiłem potem jego krzeselko do siedzenia.

Co takiego, widzieliście, jak je niosłem do stolarza?

Popsuj ma jstry, nie psujcie mi bajki! I tak jest nie najlepsza.

Druga bajka o zębach

Była raz pewna dziewczynka i ta dziewczynka miała zęby. Miała je w dzień, gdy

BAJKI

biegała. Miała je także w nocy, gdy spała. I nie myła ich. A dziewczynka ta miała także sny.

W dzień, gdy biegała, nie miała ich. Ale miała je w nocy, gdy spała.

I oto pewnej nocy, gdy spała, miała dziewczynka taki sen:

Przyśniło jej się, że zęby w jej ustach ożyły i stały się zwierzątkami. Zwierzątka przeważnie nie mówią ludzkim językiem. W snach także zwierzątka nie mówią ludzkim językiem. Ale ta reguła nie dotyczy zwierzątek, które powstały z zębów. Zwierzątka, które powstały z zębów, przeważnie mówią ludzkim językiem. Toteż i zęby — zwierzątka tej dziewczynki zaczęły mówić ludzkim językiem.

Słucha we śnie dziewczynka, o czym rozmawiają zwierzątka w jej ustach, i oto, co słyszy:

— Jakże nam tutaj źle — mówi pewien przedni ząb, który zamienił się w jelenia. —

Jesteśmy zwierzątkami, a żyjemy, jakbyśmy zwierzątkami w ogóle nie były. Ja na przykład jestem jeleniem. Chętnie pobiegałbym sobie na łonie przyrody. A gdzie tutaj w ustach jest przyroda? Nie ma jej.

— Oj, masz rację — mówi na to inny ząb, trzonowy, który zamienił się w zająca. — Ja na przykład jestem zającem. Chętnie pobiegałbym sobie po polu. Ale w ustach pole? Nie tylko go nie ma, ale nigdy nie będzie.

— Ale co w takim razie mamy zrobić? — zawołały pozostałe zęby, które także stały się zwierzątkami, niektóre dzikami, niektóre sarenkami, niektóre niedźwiedziami i bo ja wiem czym jeszcze, a wszystkie chętnie pobiegałyby po polu, po lesie albo przynajmniej po trawie.

— Odejdźmy! — zawołał przedni ząb, który zamienił się w jelenia. — Odejdźmy stąd gdzieś na łono przyrody!

o nas

« 70 »

f «1-I i i

rffftlt

" ' I*.

шяяшяшшш

1

I żeby pozostałym zwierzątkom dać dobry przykład, zaczął się kołysać i wkrótce tak się rozkołysał, że wypadł z ust dziewczynki.

Kiedy to zobaczyły pozostałe zwierzątka, więcej nie było im trzeba. Wszystkie zaczęły się kołysać i wkrótce tak się rozkołysały, że wypadły z ust dziewczynki.

Nie mogła uwierzyć dziewczynka w to, co jej się śniło. We śnie przesunęła językiem po zębach. A właściwie chciała przesunąć językiem po zębach, ale przesunęła tylko po gołych dziąsłach — zębów ani śladu. Musiała dziewczynka w to uwierzyć, oj, musiała. Chciała zawołać:

— To straszne! A zawołała:

— To stjasne!

Ktoś, czyje zęby pewnego razu odejdą, na próżno próbuje zawołać:

— To straszne!

Może zawołać już tylko:

— To stjasne!

I to także jest straszne. A o tym ten, komu się to przydarzy, może powiedzieć tylko, że to stjasne.

— Czemu lamentujesz? Co jest stjasne? — zagadnęła tę dziewczynkę nasza Łubka, która ją w tym śnie spotkała.

— Moje zęby odesły, bo im się zachciało biegać na łonie psyłody — powiedziała do Łubki ta dziewczynka. — Twoje nie odesły, twoje psyłody nie plagną?

— I moje też pragną — uśmiechnęła się nasza Łubka. — Ale nie odejdą, bo ja jestem dobrą gospodynią. Mam taką szczoteczkę i nią co rano i co wieczór wodzę po zębach i mówię do nich: „Moje zęby, moje zwierzątka, ta szczoteczka to wasza trawa, wasz las, pobiegajcie sobie po niej, żebyście w moich ustach czuły się jak na łonie przyrody”. I moje zęby pobiegają sobie po szczoteczce i są zadowolone, i nigdy nie odejdą. Powinnaś i ty sprawić sobie taką szczoteczkę!

— No tak, powinnam — powiedziała dziewczynka. — Ale kiedy już jest za późno. Już po moich zębach!

Wtem dziewczynka obudziła się i stwierdziła, że to wszystko tylko jej się śniło i że wszystkie jej zęby wciąż jeszcze są na swoim miejscu w ustach. Ucieszyła się dziewczynka i postanowiła, że zaraz sprawi sobie taką szczoteczkę, jaką ma Łubka. Ale zanim ją sobie sprawiła, uświadomiła sobie, że ma już taką szczoteczkę. Ucieszyła się dziewczynka po raz

drugi i chciała natychmiast zatelefonować do Łubki, żeby jej o tym powiedzieć. Ale nim zdążyła zatelefonować, uświadomiła sobie, że Łubka — to ona sama.

Trzecia bajka o zębach

Był raz pewien drwal, który miał dwoje dzieci, Jasia i Małgosię. Te dzieci miały wielką wadę: nie dbały o swoje zęby.

— Co robić z takimi dziećmi, które nie dbają o swoje zęby? — zastanawiał się drwal. —

Zaprowadzę je do lasu, może tam ktoś je nauczy, jak mają dbać o zęby!

Jak drwal powiedział, tak też i zrobił. Zaprowadził dzieci do lasu i zostawił je tam.

Szli przez las Jaś i Małgosia, szli, aż doszli do chatki zbudowanej z samych pierniczków. A ponieważ dzieci te bardzo lubiły jeść słodczyce, bez chwili wahania zabrały się do pierniczków. Kiedy zjadły kawałek ściany, zapadł wieczór i Jaś i Małgosia zadowoleni położyli się na trawie. A chociaż niedaleko szemrało górskie źródło, nawet do głowy im nie przyszło, żeby przed snem umyć zęby.

Trzy bajki o zębach

« 73 »

_____ ||v biedne dzieci
,wać przed ponieważ były I ranem wydu-
lga Ból, zęby
d° nier' Ról babo-jago Boi,
mi zębami? Kredy
.oanaą się do twojego
,, bo od popsutych ze-

1

łtslS*Cf O yV04 3-

Przez całą noc dumały biedne dzieci w chlewiku, jak tu się uratować przed upieczeniem i zjedzeniem, a ponieważ były to jednak mądre dzieci, nad ranem wydumały.

A rano przyszła baba-jaga Ból, żeby ich upiec, aż tu Jaś mówi do niej:

— Chyba nie zamierzasz, babo-jago Ból, jeść nas z takimi popsutymi zębami? Kiedy nasze popsute zęby dostaną się do twojego żołądka, zachorujesz, bo od popsutych zębów pochodzi większość dolegliwości żołądkowych.

BAJKI O NAS

Ale w nocy naraz coś ich obudziło. Resztki pierniczków pomiędzy zębami rozkładały się i zęby zaczęły się psuć. Tym, co obudziło dzieci, był straszny ból. Zerwały się dzieci z bólu i co widzą? Przed nimi stoi baba-jaga i tak powiada:

— Chachacha, dzieci, to ja was obudziłam. Jestem baba-jaga Ból i mieszkam w tej piernikowej chatce. Połakomiliście się na moje pierniczki, nie umyliście zębów i dlatego staliście się moją zdobyczą. Teraz zamknę was w chlewiku, a rano upiekę was na chrupiąco i zjem.

« 74 »

— Coś podobnego! — powiedziała baba- Tak już bowiem bywa: kto ma zdrowe -jaga Ból. I wezwała dentystę. zęby, do tego baba-jaga Ból nie może się

Dentysta wyleczył dzieciom zęby i baba- zbliżyć, choćby nie wiem jak się starała, -jaga Ból powiedziała: Szczęśliwie ocalone dzieci naodłamy-

— Ale teraz już naprawdę upiekę was wały sobie pierniczków z piernikowej chatki i zjem. i pośpieszyły do domu. W domu opowiadały

I chciała uczynić krok w stronę Jasia swoje przeżycia i cała rodzina raczyła się

i Małgosi. Ale — dziw nad dziwy! Cuda przy tym pierniczkami. Raczyli się także

nad cudami! Baba-jaga Ból chciała zrobić Jaś i Małgosia. Ale po uczcie Jaś i Mał-

krok do przodu, a zrobiła krok do tyłu. gosia umyli zęby, ażeby pomiędzy nimi nie

I następny krok do tyłu i następny krok pozostała ani jedna zgubna resztką. A wi-
do tyłu. Im bardziej chciała zbliżyć się do dząc, że ojciec drwał, który też raczył się
naszych dzieci, tym bardziej się oddalała, pierniczkami, zamierza położyć się do łóżka
aż w końcu przepadła. nie umywszy zębów, powiedzieli:

Trzy bajki o zębach

« 75 »

¶

— Ojczy, ojczy! Czy mamy cię zaprowadzić do lasu i tam zostawić?

— Rany boskie, tylko nie to! W lesie kryją się tysiące strachów, których nawet sobie nie wyobrażacie! — zawołał wystraszony drwał i zaraz umył zęby, i od tej pory mył zęby prawie co miesiąc.

Pytacie, dlaczego ta trzecia i ostatnia bajka nie jest o moim trzecim dziecku, o Oleńce?

No a jakże może być o niej? Przecież ona, biedactwo, nie ma jeszcze ani jednego zęba.

BAJKI O NAS

«

76»

Bajka o pierwszym wrześniu

śłuchajcie, co wydarzyło się pewnego pierwszego września! A właściwie zaczęło się to już wcześniej.

Był ostatni dzień sierpnia i Marcin nazajutrz miał po raz pierwszy pójść do szkoły.

Położyliśmy go do łóżeczka i powiedzieliśmy mu:

— Nie bój się, Marcinku, nie zaśpimy!

Ale Marcin znał nas. Marcin wiedział, że lubimy wstawać późno, toteż nie wierzył nam.

Zaczekał, aż wszyscy ułożymy się do snu. Potem wziął swój nowy tornister i wykrał się z domu. Przed domem stał nasz samochód i Marcin umówił się z tym samochodem, że dzisiejszą noc prześpi obok niego. Z jednej strony dlatego, że od samochodu do szkoły było o dobry kawałek bliżej niż od drzwi na drugim piętrze, z drugiej strony dlatego, że samochód obiecał obudzić go rano trąbieniem.

Wiecie jednak, jak to bywa, gdy ktoś następnego dnia ma po raz pierwszy pójść do szkoły.

Ten ktoś wciąż musi myśleć: „Jutro po raz pierwszy idę do szkoły, jutro po raz pierwszy idę do szkoły” — i za nic nie może zasnąć. Widział samochód, że Marcin wciąż myśli, widział, że Marcin za nic nie może zasnąć, i postanowił włączyć cichutko silnik i zamruczeć

Marcinowi do snu jakąś piękną bajkę. Nie każdy samochód potrafi mrużyć bajki. Ten samochód był jednak naszym, pisarskim samochodem, ten samochód umiał mrużyć bajki.

A teraz coś o telefonie. Mamy bowiem także telefon. Nie każdy telefon potrafi szanować bajki, ale nasz telefon jest pisarskim telefonem. Nasz telefon darzy bajki

wielkim szacunkiem. Kiedy więc nasz telefon przez otwarte okno usłyszał, że samochód zaczyna mrużyć Marcinowi piękną bajkę, pomyślał: „Byłaby wielka szkoda, gdyby tej pięknej bajki nikt nie zapisał”.

A zatem nasz telefon wykręcił numer wydawnictwa książek dla dzieci, a potem spuścił swoją słuchawkę na szriurze j>rzez otwarte okno na ulicę. Odbieratjłttchawką piękną bajkę, którą mrużwał nasz samochód, i cieszył się, że bajka biegnie po drucie do wydawnictwa, gdzie redaktorki ją zapisują. Ale nasz telefon cieszył się przez pomyłkę. Cóż by robiły redaktorki w wydawnictwie nocą? Nie było ich tam i pięknej bajki, którą mrużwał Marcinowi do snu nasz samochód, nikt nie zapisał. I dlatego nie wiemy nawet, o czym była.

Musiała to być jednak naprawdę piękna bajka, bo gdy obudziliśmy się rano — a obudziliśmy się tym razem naprawdę wcześniej — znaleźliśmy Marcina śpiącego przed samochodem i stwierdziliśmy, że jego głowa świeci. Świeciła pomiędzy dwoma zgaszonymi reflektorami jak elegancki, nowy, środkowy reflektor. Otworzyliśmy samochód i chcieliśmy nacisnąć

wyłącznik, żeby nowy reflektor wyłączyć. Ale wyłącznik — jakżeby inaczej — był wciśnięty. Jaki tam reflektor!

— Czyżby to był świecący sen? — zawołaliśmy.

Ale wtem auto dotrzymując obietnicy zatrafiło, Marcin obudził się, lecz jego głowa świeciła nadal.

— Ładne rzeczy — powiedziała moja żona Olga. — Jakże on z taką świecącą głową pójdzie do szkoły?

Bajka o pierwszym wrześniu

« 77 »

— A dlaczego miałby nie pójść? — powiedziałem. — Pójdziemy z nim i przekonamy nauczycieli, że świecenie głowy jest naturalnym zjawiskiem u niektórych wyjątkowo uzdolnionych uczniów.

— W ten sposób „zatrujemy mu życie co najmniej na najbliższych dziewięć lat — powiedziała moja żona Olga. — Który nauczyciel lubi wyjątkowo uzdolnionych zgaśnie samoistnie, i zaprowadzić Marcina do szkoły dopiero trzeciego, czwartego września. — I to jesteście cali wy! — dał się naraz słyszeć nad nami głos Marcina. — Pozwolilibyście, żebym zasnął już pierwszego dnia obowiązkowej nauki szkolnej!

I wtedy obudziliśmy się.

I zobaczyliśmy, że Marcin jest już ubra-

uczniów? Będą na jego świecącą głowę patrzeć z podobną odrazą, z jaką patrzą na brudne uszy! A nawet z większą, bo brudne uszy widzą tylko niekiedy, przy bliższych oględzinach, ale świecącą głowę będą widzieli nieustannie, i to nawet z daleka!

— Co w takim razie zrobimy? — zastanowiłem się. — Chyba najrozsądniej będzie zaczekać dzień, dwa, a nuż głowa

ny, że jego głowa wcale nie świeci, ale za to świeci nasze pisarskie okno, bo jest już późny ranek.

— Chwała Bogu — ucieszyła się moja żona Olga. — Jednak był to tylko świecący sen!

— Rzeczywiście — ucieszyłem się także. — I to nie Marcina, tylko nasz! Teraz pozostaje tylko go zapisać i mamy nową, bardzo ładną bajkę!

bajki o nas

« 78 »

Zaraz zabraliśmy się do pracy i zapisaliśmy ją. Była to właśnie ta bajka — „Bajka o pierwszym wrześniu”.

Czy Marcin czekał na jej zapisanie? Chętnie poczekałby, ale wolał nie czekać.

Nie chciał spóźnić się do szkoły. Raczej trudno by mu było pierwszego dnia przekonywać nauczycieli, że spóźnione przyjscie do szkoły to naturalne zjawisko u niektórych uczniów mających wyjątkowo uzdolnionych rodziców.

Bajka dla Łubki

Jtyewnego wieczoru powiedziałem sobie: opowiem jakąś bajkę mojej córce Łubce. Najpierw ją opowiem, potem zapiszę i umieszczę w książce.

Raz—dwa usiadłem obok łóżeczka Łubki i już opowiadałem:

Był sobie raz pewien kocurek i pewna kotka, którzy poszli do lasu na jagody. Zbierają jagody, zbierają, aż tu naraz co widzą? Przed nimi jagoda wielka jak dom. Nie mogą jej zerwać, nie mogą jej podnieść. A zostawić ją w lesie, żeby zgniła, byłoby szkoda.

— Gdyby tak ktoś silny pomógł nam zanieść tę jagodę do domu! — powiedziała kotka.

A kocurek zawołał:

— Wiem kto! Tu niedaleko mieszka Łubka. A jej tatuś ma taki czerwony samochód. On nie tylko mógłby nam tę jagodę zanieść, on mógłby ją zawieźć!

Biegli z lasu kocurek z kotką, biegli, a po chwili dzwoniли już do naszych drzwi. Otworzyła im Łubka. A kocurek z kotką powiedzieli do niej:

— Dzień dobry, Łubko. Idź i powiedz swojemu tatusiowi, że tu jesteśmy i że bardzo go prosimy, żeby nam tym swoim czerwonym samochodem pomógł przywieźć z lasu jagodę. Jest to bowiem jagoda wielka jak dom.

— Idę powiedzieć to tatusiowi, zaczekajcie pod drzwiami — powiedziała Łubka i poszła do pokoju do tatusia.

Tatus w pokoju nie słyszał dzwonka, tatuś w pokoju nic nie wiedział o kocurku i kotce.

Zobaczył tylko, że do pokoju weszła Łubka, i zapytał:

— Co chcesz, Lubeczko?

I co na to odpowiedziała Łubka?

— Gumę do żucia! — zawołała Łubka z łózcemka.

Ładne rzeczy, pomyślałem, bajka zepsuta. Ale trudno, muszę ją dokończyć. I dokończyłem: Tatus dał Łubce gumę do żucia, kocurek z kotką czekali pod drzwiami, czekali, a skoro nikt nie przychodził, bali się dzwonić po raz drugi, smutni odeszli spod drzwi i wielka jagoda zgniła w lesie.

Ale następnego wieczoru powiedziałem sobie: opowiem tę bajkę mojej córce Łubce jeszcze raz. Jest już o dzień starsza, nieco mądrzejsza, może i pamięć trochę jej się poprawiła i nie zapomni o tym, że kocurek z kotką stoją pod drzwiami.

Opowiadałem, opowiadałem, niczego nie opuściłem. Kocurek z kotką znów powie-

Bajka dla Łubki

« 79 »

dzieli Łubce, po co przyszli, Łubka znów powiedziała im, żeby chwilę poczekała i poszła do tatusia do pokoju, a tatuś, który o niczym nie wiedział, znowu zapytał:

— Co chcesz, Lubeczko?

— Jeszcze jedną gumę do żucia!

A ja znowu pomyślałem: Bajka zepsuta. Paskudna Łubka! Zapomniała także o dzisiejszym kocurku z kotką, chociaż, jak widać, zupełnie dobrze pamięta nawet i wczorajszą gumę do żucia.

Zapisałem zepsutą bajkę, ale zamiast w książce, umieściłem ją w swojej najniższej szufladzie.

Tam czeka, aż Łubka podrośnie i przestanie dla gumy do żucia zapominać o gościach.

Wtedy kocurek

z kotką nie będą musieli smutni odchodzić od drzwi, jagoda wielka jak dom nie będzie

musiała zgnieć, a moja bajka rozwinię się dalej i jej zakończenie będzie zupełnie inne.

Z pewnością inne, tylko nie wiadomo, czy ładniejsze.

Na przykład takie:

— Tatusiu, tatusiu — powie za rok Łubka. — Odgrażałeś się, że tej bajki nie umieścisz w książce, ale zapomniałeś i umieściłeś. Ty też jesteś jeszcze mały, jeszcze zapominalski?

— Ech, Łubko — odpowiem za rok Łubce. — Ja miałbym być jeszcze zapominalski? Ja jestem już zapominalski.

O

Sto lalek Oleńki

powiadam „Bajki o nas”, opowiadam, i zupełnie nie pamiętam o naszej małej Oleńce. A więc

— oto bajka o niej.

Był sobie pewien dom, który miał dwa okna od ulicy, nisko nad ziemią, jedno obok drugiego.

I oba te okna były otwarte, a w jednym pojawiła się Oleńka.

Właśnie wtedy ulicą przechodziła Ewunia.

Zobaczyła Ewunia Oleńkę, zobaczyła Oleńka Ewunię. Uśmiechnęły się do siebie i Ewunia zatrzymała się. I stojąc powiedziała:

— Oleńko, pokaż mi lalki!

„Dlaczego miałabym jej nie pokazać, skoro chce, żeby jej pokazała? Sprawię jej przyjemność” — pomyślała Oleńka.

I podniosła rękę, a w ręce trzymała szmacianą lalkę.

— Ojej! — zawołała pod oknem Ewunia. — Jaka piękna lalka! Pokaż mi jeszcze jakąś! Masz jeszcze?

— Jeszcze mam, ale w drugim pokoju — powiedziała Oleńka i zniknęła z okna. A zaledwie zniknęła z jednego okna, już pojawiła się w drugim i znów podniosła rękę trzymając w niej szmacianą lalkę.

A gdy Oleńka zniknęła z jednego okna, a pojawiła się w drugim, Ewunia na ulicy też przebiegła spod jednego okna pod drugie. A gdy w ręce Oleńki znowu zobaczyła lalkę, zawołała:

— Ojej! Ta też jest piękna!

— I jeszcze mam! — powiedziała Oleńka znikając z drugiego okna.

A zaledwie zniknęła z tego drugiego okna, zaraz znów pojawiła się w tym pierwszym i w podniesionej ręce trzymała szmacianą lalkę.

BAJKI O NAS

« 80 »

A Ewunia na ulicy też przebiegła spod drugiego okna pod to pierwsze, a widząc znowu lalkę w ręce Oleńki, zawołała:

— Ojej! Jakie ty masz piękne lalki! Jeszcze mi pokaż! Jeszcze!

A wtedy Oleńka zaczęła z wielką szybkością znikać z jednego okna i pojawiać się w drugim i znowu znikać i znowu się pojawiać, a za każdym razem, gdy się pojawiała, podnosiła rękę ze szmacianą lalką i wołała:

— A tu mam jeszcze jedną! A tu mam jeszcze jedną!

A Ewunia na ulicy też przebiegała z wielką szybkością spod jednego okna pod drugie, zawsze pod to, w którym pojawiała się Oleńka, przebiegała Ewunia i uradowana wołała:

— Ojej! Ojej! Tyle pięknych lalek! Cieszyła się Oleńka, że sprawiła Ewuni tyle radości.

A uradowana Ewunia powiedziała:

— Oleńko, ty masz tyle lalek, a ja nie mam ani jednej jedynej! A gdybyś mi tylko jedną jedyną dała, to już bym miała!

Wysłuchiwała tego Oleńka i zachmurzyła się. Powiedziała:

— Dobrze sobie! Dam ci lalkę, a ja c będę miała? Przecież mam tylko tę jedną!

— Aha, jedną! — zawołała Ewunia. — Jak możesz mi tak prosto w oczy kłamać? Nie jedną masz, tylko sto, ale się wypierasz, bo nie chcesz dać, ty skąpe skąpiradło!

— Ja jestem skąpe skąpiradło? Nie jestem żadne skąpe skąpiradło! Ażebyś wiedziała, masz tu! — powiedziała Oleńka i rzuciła Ewuni z okna swoją jedną jedyną szmacianą lalkę.

A Ewunia podniosła lalkę i powiedziała:

— I tak ci nie podziękuję! Na pewno dałaś mi najbrzydszą!

I to już wszystko.

Ach, wy dziwicie się, że Oleńka w bajce mówi, chociaż jeszcze na początku „Bajek o nas” nie potrafiła powiedzieć nic innego, tylko „Auauee”?

Macie rację. Ja też się temu dziwię.

Sto lalek Oleńki

« 81 »

Podarta bajka

z/aprosiłem raz do mieszkania mnóstwo dzieci z naszej ulicy i czytałem im swoją nową bajkę. Była to bajka o starszym panu, który chętnie zrzucał dzieciom z okna różne rzeczy, a gdy nie miał już nic do zrzucenia, pomyślał, że i tak już niedługo umrze, i zaczął wyrywać kartki ze swego dowodu osobistego i zrzucał je dzieciom jak ulotki.

Czytałem, czytałem, a gdy skończyłem, stwierdziłem, że dzieci nie ma. Ani tych z ulicy, ani moich własnych. Szukałem

BAJKI O NAS

« 82 »

ich pod łóżkiem, za drzwiami i w szafie — dzieci ani śladu. W końcu wyjrzałem przez okno na ulicę i co widzę? Są tam wszystkie dzieci. I zaledwie mnie zauważyły, zaczęły krzyczeć:

— Niech nam pan coś zrzuci!

A były też wśród nich moje dzieci i krzyczały:

— Tak, tatusiu, zrzucić!

Zrzucić, ale co? Nie byliśmy najbogatsi, w mieszkaniu mieliśmy tylko to, czego potrzebowaliśmy. Spojrzałem na swoją żonę Olę i zobaczyłem, że zbiera jej się na płacz i śmiech jednocześnie, bo jak zwykle z góry wiedziała, co zrobię. A ja rzeczywiście to zrobiłem. Podarłem bajkę o starszym panu na mnóstwo kawałków i te kawałki jak ulotki porzucałem z okna dzieciom.

Na próżno szukalibyście teraz tej bajki u nas pod łóżkiem, za drzwiami albo w szafie. Nie ma jej. Ale gdybyście wtedy patrzyli ze mną z okna, zobaczylibyście, że dzieciom ta moja bajka sprawiła tak wiele radości, jak jeszcze nigdy żadna inna bajka.

A moja żona Olga?

Pozbierała, jak tylko mogła najprędzej, wszystkie pozostałe bajki z mego biurka i ukryła je przede mną w niewiadomym miejscu, żebym ich także przypadkiem nie podarł. Dała mi je dopiero dzisiaj, kiedy już oddawałem do druku „Błękitną księgę bajek”. Nie miałem doprawdy czasu dokładnie tych pozostałych bajek uporządkować, nie miałem nawet tyle czasu, żeby wymyślić dla nich porządny wspólny tytuł. Nadałem im zatem tylko taki — byle jaki. „Różne bajki”.

Podarta bajka

« 83 »

ШШЯ^ШШШИк

яшшас.

RÓŻNE BAJKI

Z życia luster

ego lata nie miałem za wiele pracy, postanowiłem więc poświęcić się obserwacjom. Ktoś tam obserwuje życie motyli, ktoś inny życie czegoś innego, ale czy obserwował ktoś życie luster? Postanowiłem zostać pierwszym obserwatorem życia luster.

Pierwsze lustro, którego życie zacząłem obserwować, było lustrem pływającym. Leżało na powierzchni płynącej wody i było przez nią unoszone w dół rzeki. Dlatego też nazwałem je w swoich naukowych notatkach lustrem wodnym.

Kiedy zacząłem je obserwować, był akurat wieczór i nad pływającym lustrem pochylały się dziewczęta i gwiazdy.

— Jakie piękne jesteśmy z gwiazdami we włosach! — mówiły dziewczęta.

— Jakie piękne jesteśmy we włosach dziewcząt! — mówiły gwiazdy.

Usłyszał to wodnik mieszkający pod wodą i obudziła się w nim zazdrość. On nie widział ani dziewcząt, ani gwiazd, ani siebie. Jakże mógł widzieć, skoro znajdował się za lustrem.

Popłynął zazdrosny wodnik w dolinę i tam w nurt rzeki zwałił głaz. Przed głazem poziom wody się podniósł, za głazem opadł, a woda opadała ponad głazem jak te dziewczęce włosy pełne gwiazd, których wodnik tak bardzo był ciekawy. A wodnik siedział pod tym wodospadem i cieszył się, że pływające lustro tutaj się odwróci i on nareszcie wszystko — dziewczęta, gwiazdy i siebie — w tym lustrze zobaczy.

Ale przeliczył się. Lustro wprawdzie rzeczywiście się tutaj odwróciło, ale nim wodnik zdołał cokolwiek zobaczyć, rozbiło się na tysiąc drobnych kawałków. Do dzisiaj siedzi wodnik pod wodospadem i rozmyśla, jak by tu tych tysiąc drobnych kawałków skleić. Tylko ludzie, którzy nigdy nie zajmowali się obserwowaniem życia luster, chodzą obojętnie po brzegu myśląc, że to piana wodna migoce i rozpryskuje się pod wodospadem.

Drugie lustro, które obserwowałem, było lustrem stojącym. Stało w sypialni w pewnym mieszkaniu, tak jak tysiące luster w tysiącach sypialni w tysiącach mieszkań. Dlatego też nazwałem je w swoich naukowych notatkach lustrem zwyczajnym.

Los zwyczajnego lustra nie był ani trochę lepszy od losu lustra wodnego. Zaledwie zacząłem je obserwować, już było po nim. Wpadła na nie dziewczynka, która mieszkała w tym mieszkaniu ze swoimi rodzicami, i lustro rozbiło się na tysiąc drobnych kawałków, które rozsypały się na podłodze przed lustrem. A po lustrze została tylko pusta rama.

Właśnie w tej chwili wchodziła do sypialni mamusia tej dziewczynki — chciała przed lustrem założyć kapelusz. Usłyszała dziewczynka kroki mamusi i szybko stanęła w pustej ramie. Myślała sobie: wszyscy mówią, że jesteśmy z mamusią podobne, może mamusia nic nie zauważy. Stanęła mamusia przed lustrem i zaczęła wkładać na głowę kapelusz. Widząc to dziewczynka szybko założyła na głowę koszyczek, który trzymała w ręku. A mamusia rzeczywiście nic nie zauważyła, patrzyła na swoją córeczkę z koszyczkiem na głowie i mówiła:

— Zdaje się, że mi w tym kapeluszu wyjątkowo do twarzy!

RÓŻNE BAJKI

«86

»

■НИ

Aż tu naraz z koszyczka na głowie dziewczynki wysypały się niezapominajki, których dziewczynka przed chwilą narwała nad potokiem, i pospadały na podłogę przed lustrem.

— Ach! — zawołała zdziwiona mamusia. — Cóż to sypie mi się z kapelusza? — I spojrzała na podłogę przed lustrem.

Koniec — pomyślała dziewczynka w ramie lustra, wiedziała bowiem, że na podłodze przed lustrem leżą lustrzane odłamki.

Mamusia dziewczynki wzięła do ręki kawałek lustra, spojrzała weń i zawołała:

Z życia luster

« 87 »

ики! Na pew-a mi

tra ode-

mojej ma-ninajek!

dwóch

ic luster

I każde

■ —

wałków.

po-

timh na kartkę

./ Na

zaczynają pojawiać się moje myśli! Myśl do myśli — i naraz powstaje z nich cały fragment, fragment do fragmentu — i naraz powstaje z nich cała bajka. A w tej bajce i pierwsze rozbite lustro, i drugie rozbite lustro — ożywają, jak gdyby nigdy się nie rozbiły!

Oczywiście zaraz poweselałem. A poweselawszy pomyślałem sobie: dlaczego życie luster miałyby być smutne? Jest wesołe! A najweselsze jest życie trzeciego lustra, które właśnie obserwuję! Jest to lustro do odzwierciedlania myśli! To lustro, w którym ponownie ożywają także te lustra, które już się kiedyś rozbiły! A ponieważ skądinąd jest to kartka czystego papieru, nazwałem je w swoich notatkach naukowych lustrem papierowym. Byleby tylko nie spłonęło.

Baryton

baron na środek ogrodu i co środkiem ogrodu wyrósł mu dziwny .•k. Podobny był do porzeczkowego, on porzeczek zwisały z niego iych dukatów. - zawołał nasz baron, baron - A więc to tak! Mój dukat zapadł się pod ziemię! Wy-i z kieszeni, nastąpiłem na niego, ięptałem go w urodzajną ziemię, a że urodzajnej ziemi rok też był wyjątkowo urodzajny, mój dukat obrodził. No cóż, skoro obrodził — dobra nasza. Pozwolił nasz baron, baron bas Baryton,

I] (.. -!::...,,!,,£ 0 «dii modo
Box/лo[ц ims psau' psri.ou pдг взі-А^ои'

•ukał go ca-

i ani siadu. Jak-

u naraz, po

Pozwolił nasz baron, baron bas Baryton, odniach szukania, srebrnym dukatom dojrzewać, a gdy nade-

RÓŻNE BAJKI

« 88 »

— Przecież to niezapominajki! Na pewno nazbierała ich dla mnie i włożyła mi je do kapelusza moja córeczka!

A dziewczynka w ramie lustra odetchnęła i pomyślała:

— Co za szczęście, że oczy mojej mamusi są podobne do niezapominajek!

Na podstawie obserwacji życia dwóch luster wyprowadziłem wniosek: życie luster jest smutne. Wcześniej czy później każde lustro — czy to zwyczajne, czy wodne — rozbije się na tysiąc drobnych kawałków. Wyprowadziwszy taki wniosek ja także posmutniałem. Nie chciało mi się już obserwować życia trzeciego lustra, tylko tak sobie smutno siedziałem, patrzyłem na kartkę czystego papieru i rozmyślałem o smutnym życiu luster. Aż tu — co ja widzę? Na kartce czystego papieru przede mną naraz

zaczynają pojawiać się moje myśli! Myśl do myśli — i naraz powstaje z nich cały fragment, fragment do fragmentu — i naraz powstaje z nich cała bajka. A w tej bajce i pierwsze rozbite lustro, i drugie rozbite lustro — ożywają, jak gdyby nigdy się nie rozbiły!

Oczywiście zaraz poweselałem. A poweselawszy pomyślałem sobie: dlaczego życie luster miałyby być smutne? Jest wesołe! A najweselsze jest życie trzeciego lustra, które właśnie obserwuję! Jest to lustro do odzwierciedlania myśli! To lustro, w którym ponownie ożywają także te lustra, które już się kiedyś rozbiły! A ponieważ skądinąd jest to kartka czystego papieru, nazwałem je w swoich notatkach naukowych lustrem papierowym.

Byleby tylko nie spłonęło.

Baron bas Baryton

B

>ył raz pewien baron, baron bas Baryton. Gdybyście wiedzieli, jaki był z niego bogacz! Miał on dukatów — czekajcie, czekajcie, zaraz sobie przypomnę. Pełny wóz? Nie. Pełen worek? Nie. Aha, już wiem! Miał on jeden jedyny złoty dukat. Ale i to jest więcej niż nic. A

właściwie — było to więcej niż nic, ponieważ nasz miły baron, baron bas Baryton, ten swój jeden jedyny dukat bez pożytku zgubił gdzieś w swoim ogrodzie.

Szukał go całymi dniami, szukał go całymi tygodniami, ale dukata ani śladu. Jakby się pod ziemię zapadł. Aż tu naraz, po wielu dniach i wielu tygodniach szukania.

patrzy nasz baron na środek ogrodu i co widzi? Pośrodku ogrodu wyrósł mu dziwny krzaczek. Podobny był do porzeczkowego, ale zamiast gron porzeczek zwisały z niego grona srebrnych dukatów.

— Ach! — zawołał nasz baron, baron bas Baryton. — A więc to tak! Mój dukat rzeczywiście zapadł się pod ziemię! Wypadł mi z kieszeni, nastąpiłem na niego, wdeptałem go w urodzajną ziemię, a że oprócz urodzajnej ziemi rok też był wyjątkowo urodzajny, mój dukat obrodził. No cóż, skoro obrodził — dobra nasza.

Pozwolił nasz baron, baron bas Baryton, srebrnym dukatom dojrzewać, a gdy nade-

RÓŻNE BAJKI

« 88 »

szła jesień i srebrne dukaty stały się złote, zebrał je do worka, worek zarzucił na ramię i wyruszył do królewskiego miasta, żeby ulokować swój majątek w banku.

Do królewskiego miasta idzie się przez Czarne Góry. Maszeruje nasz baron, baron bas Baryton, maszeruje przez Czarne Góry, aż tu naraz drogę zastępuje mu dwóch ogromniastych chłopów.

— Kim jesteście, braciszku? — pyta ich baron, baron bas Baryton.

— Oj, tak, tak, jesteśmy braciszkami — odpowiadają ogromniaste chłopcy. — Jesteśmy bracia Muchowie, legendarni zbójcy, oddaj nam swój worek!

Oddał nasz baron, baron bas Baryton, worek dukatów braciom Muchom, a bracia Muchowie, jak przystało na zbójców, wrzucili naszego barona w głęboką przepaść.

Spadał nasz baron, baron bas Baryton, w głęboką przepaść, a spadając tak rozmyślał:

„To już z pewnością moja ostatnia go dzina. Gdzie tam godzina — ostatnia minuta.

Wypadałoby w tej ostatniej minucie pożegnać się ze swoimi krewnymi i znajomymi.”

Baron bas Baryton

« 89 »

Nie zwlekając wyciągnął nasz baron, baron bas Baryton, z kieszeni czysty papier, wyciągnął z kieszeni atrament, wyciągnął z kieszeni gęsie pióro i w locie zaczął pisać:

Drodzy moi krewni, drodzy moi znajomi! Żegnajcie się z wami w swojej ostatniej minucie, bo wrzucili mnie zbójcy w głęboką przepaść i teraz...

I chciał nasz baron, baron bas Baryton, napisać słowo „spadam”, ale nie napisał, gdyż nagle spostrzegł, że już nie spada.

Wierzcie albo nie wierzcie — ale unosił się on w powietrzu jak ptak!

Mądry był nasz baron, baron bas Baryton, od razu zrozumiał, co się dzieje!

Nasz baron był mały, bardzo mały,

o wiele mniejszy od gęsi. Gęś po to, żeby unieść się w powietrze, potrzebuje dwóch pełnych skrzydeł gęsich piór, ale naszego barona zdołało utrzymać w powietrzu jedno jedyne pióro.

— Dobrze, że je wyciągnąłem z kieszeni! — zawołał uszczęśliwiony baron. —

1 dobrze, że pisząc parę razy porządnie nim machnąłem!

Nie zwlekając zaczął nasz baron, baron bas Baryton, machać gęsim piórem ile sił. I wkrótce uczył, że się wznosi, wkrótce ujrzał skraj przepaści i wznosił się nadal, aż ujrzał wierzchołki drzew i wznosił się nadal i wkrótce unosił się wysoko nad Czarnymi Górami i zobaczył w dole pod sobą, pośrodku Czarnych Gór, Morskie Oko, a na brzegu Morskiego Oka zobaczył siedzących zbójców, braci Muchów, którzy akurat dzielili dukaty z jego worka — jeden dla mnie, jeden dla ciebie.

RÓŻNE

— Ach — pomyślał baron, baron bas Baryton. — Szkoda, że ich jest dwóch, a ja sam jeden! Ale zaledwie to pomyślał, a już spostrzegł, że i on też nie jest sam! Na powierzchni Morskiego Oka ujrzał bowiem drugiego barona, barona bas Barytona, swoje zwierciadlane odbicie.

— Ha — pomyślał baron, baron bas Baryton. — Dwóch na dwóch, to już można coś przedsięwziąć!

I zawołał:

— Hej, bracia Muchowie!

— Kto nas woła? — zapytali zdziwieni bracia Muchowie.

— To ja wołam, baron, baron bas Baryton, którego wrzuciliście do przepaści! — odpowiedział nasz baron. — Nie zabiłem się, ponieważ na dnie przepaści płynęła rzeka, która przyniosła mnie tutaj, na dno Morskiego Oka, na brzegu którego siedzicie. A na dnie Morskiego Oka znalazłem mnóstwo złotych prętów, o wiele cenniejszych od dukatów, które mi zabraliście. Jestem wam, bracia Muchowie, ogromnie wdzięczny.

— Niewiarygodne! — zawołali bracia Muchowie i pochylili się nad Morskim Okiem, żeby zobaczyć, czy baron rzeczywiście się w nim znajduje i czy rzeczywiście ma jakieś złote pręty. A nasz baron wówczas chwycił w powietrzu ręką jeden słoneczny promień, który akurat obok niego padał na ziemię, a w lustrzanym odbiciu na powierzchni Morskiego Oka wyglądało to, jakby trzymał w ręce złoty pręt.

— A jednak wiarygodne! — zawołali widząc to bracia Muchowie, i obaj skoczyli do Morskiego Oka, ponieważ chcieli baronowi ukraść prócz dukatów jeszcze i te złote pręty. I wtedy stało się to, co się stać musiało.

BAJKI

« 90 »

Stało się to, czego sobie życzył nasz baron, baron bas Baryton. Każde oko, gdy wpadnie doń muszka, gwałtownie się mruży. Nic dziwnego, że zmrużyło się także Morskie Oko, gdy wleciały doń dwie olbrzymie muchy — bracia Muchowie. Zmrużyło się i uwięziło braci Muchów pod przymrużonymi brzegami. Nie zwlekając opuścił się nasz baron, baron bas Baryton, na swoim gęsim piórze na ziemię, zabrał worek swoich dukatów i pobiegł, ile sił w nogach, z Czarnych Gór do domu, bo wiedział, że tak jak każde oko, tak i Morskie Oko wcześniej czy później się otworzy i bracia Muchowie wraz ze łzami wypłyną spod jego brzegów.

Następnej jesieni baron, baron bas Baryton, obsadził złotymi dukatami cały ogród. Myślał sobie:

— Skoro z jednego dukata urodził się cały worek, to teraz urodzi mi się tyle worków, ile w tym jednym worku było dukatów.

Ale przeliczył się. Nie każdy rok bywa jednakowo urodzajny — tego następnego nie urodziło mu się nic. A i to, co posadził, zgniło.

Tak, że naszemu baronowi, baronowi bas Barytonowi, został jeden złoty dukat, który podczas sadzenia przypadkowo nie wypadł z worka.

Jak Pajacyk miał słońia

.Łch, ta poczta! Kiedyś na przykład poczta przez pomyłkę dostarczyła do Pajacowa słońia. Pajacykowi żal się zrobiło biednego słońia, więc się nim zaopiekował.

Wkrótce przekonał się Pajacyk, że postąpił słusznie. Słoń był już bowiem stary, jeden bok miał zbutwiały, można w nim było zupełnie wygodnie mieszkać. Naturalnie Pajacyk w nim zamieszkał.

W lecie otwierał okienko, które osadził w boku słońia, i patrzył na przysłoniowy ogród, w którym kwitły różnorodne kwiaty. A żeby różnorodne kwiaty nie wiedły mu od letniego upału, podlewał je Pajacyk węzem. Jako węza używał trąby słońia.

W zimie Pajacyk okienko w boku słońca zamykał. Ale że zimy w Pajacowie bywają ostre, nie wystarczyło zamykanie okienka, trzeba było w słońcu także palić. Palił więc Pajacyk w słońcu, palił, aż dym z komina walił. Jako komin znowu służyła mu trąba słońca.

W krótkim czasie wieść o słońcu Pajacyka rozeszła się po całym kraju. Nic więc dziwnego, że pewnego dnia w bok słońca zapukali posłowie królewscy, a gdy Pajacyk wyszedł na przysłonie, tak do niego przemówili:

— Przesławny Pajacyku! Na naszą ziemię napadli wrogowie! Nasz najjaśniejszy król prosi cię, byś ze swym słońcem podążył na bój.

Jakże mógł Pajacyk odmówić pomocy królowi? Nie zwlekając podążył na bój wraz ze swym słońcem. W boju spisywał się nadzwyczaj dzielnie. Miotał we wrogów jedną kulę armatnią po drugiej. Trąba słońca bowiem doskonale dawała się wykorzystać również jako szybkostrzelne działo.

Jak Pajacyk miał słońca

« 91 »

Aż tu naraz — biada! Pajacyk nie miał już więcej kul armatnich! A wrogowie jeszcze mieli! I miotali w Pajacyka jedną kulę armatnią po drugiej! Inny wojownik na jego miejscu rzuciłby się do ucieczki. Ale nie Pajacyk! On zaczął w stronę wrogów odbijać ich własne kule, jakby to były piłki tenisowe! A odbijał je uszami swego słońca, jakby to były rakiety tenisowe! Przerażeni nieprzyjaciele rzucili się do ucieczki. Pajacyk zwyciężył. Przybył król i ogromnie mu dziękował. W nagrodę dał mu dwa wagony złota.

Po wojnie wszystkie lokomotywy były rozbite — każdy na miejscu Pajacyka miałby kłopoty z zaciągnięciem dwóch wagonów złota do Pajacowa. Pajacyk naturalnie nie miał kłopotów. Przywiązał wagony swemu słońcowi do ogona, napalił w nim, zagwizdał i słoń wraz z wagonami popędził

po szynach jak lokomotywa, tylko mu się z trąby dymiło!

Co począć z dwoma wagonami złota? Zrobić sobie złotą bramę? A może złote zęby? A może zakopać złoto w ogrodzie, żeby za sto lat mógł jakiś Kuba znaleźć złoty skarb? Tak rozważał Pajacyk, gdy już przybył do domu w Pajacowie. Aż naraz patrzy na swego słońca i co widzi? Dwie nieprzyjacielskie kule przebiły mu, biedakowi, uszy, jedna prawe, druga lewe, pozostawiając w nich dwie ogromne dziury, jedną w prawym, drugą w lewym.

Ktoś inny powiedziałby sobie:

— Ach, mam zeszpecone słońca! Ale Pajacyk zawołał radośnie:

— Kiedy dziewczyna ma przekłute uszy, to najgorsze ma już za sobą!

I wezwał złotnika i dla swego słońca z wdzięczności za to, że tak dzielnie po-

RÓŻNE BAJKI

« 92 »

I

magął mu w boju, kazał z dwóch wagonów złota zrobić dwa złote kolczyki.

Oczywiście były to raczej kolczycki niż kolczyki, bo cóż to jest jeden wagon złota przy jednym uchu słońca? Ale inny słoń nie może się pochwalić nawet takimi. Słoń Pajacyka wyglądał w kolczykach zupełnie nie jak słoń, tylko jak piękna i bogata dama.

I Pajacyk powiedział mu tó.

A następnego dnia Pajacykowego słońca nie było. Długo nie wiedział Pajacyk, gdzie mógł się podziać. Było mu bez niego dosyć smutno i aby zapomnieć o tym smutku, przeglądał wieczorami zagraniczne ilustrowane czasopisma. W ten sposób natrafił raz w jednym z zagranicznych czasopism ilustrowanych na obrazek przedstawiający statek pływający do Afryki. A przyjrząwszy się lepiej obrazkowi dojrzał, że na pokładzie statku siedzi pisząc pocztówki jakaś piękna dama. Piękna i najprawdopodobniej bogata, bo w jej

uszach kołysały się dwa złote kolczyki. A gdy przyjrzał się temu obrazkowi najlepiej jak umiał, naraz wykrzyknął:

— Mój słoń! Ten ma dopiero życie! Już się cieszę na szczegóły!

Pajacyk spodziewał się bowiem, że szczegóły będą opisane na jednej z tych pocztówek, które słoń wypisywał na pokładzie statku. Pajacyk nie wątpił, że jedna z tych pocztówek — o ile nie wszystkie — przeznaczona jest dla niego i lada chwila przyjdzie. Ale nie przyszła. Ech, ta poczta, ta poczta!

G<

Bajka ze śmietniska

idzie się to działo, tam się działo, grunt że było raz na łące pod pewnym słowackim miastem śmietnisko, a na tym śmietniku góra najróżniejszych wyrzuconych rzeczy. Góra była taka wysoka, że zasłaniała słońce. Z tego powodu rada miejska musiała zebrać się i naradzić, czy miasto ma przyzwyczać się do życia bez słońca, czy też raczej zrobić coś z górą śmieci.

Przyzwyczajenie się do życia bez słońca byłoby kosztowne — osądzili ojcowie miasta.

Musielibyśmy dzień i noc świecić światło elektryczne, a prąd elektryczny jest drogi. O wiele tańsze są zapałki. Wystarczy potrzebować

jedną zapałkę — i góra śmieci zapali się i spłonie. I znowu będziemy mogli się opalać! Rada miejska uzgodniła, że bez długich wahań podpali górę śmieci zaraz następnego dnia rano.

— Och, jej! — zaczęła w tej samej chwili wzdychać na śmietniku wyrzucona słuchawka telefoniczna.

— Cóż tam takiego? — zagadnęła słuchawkę telefoniczną stara gramatyka. — Przez cały czas nie wzdychała pani, aż tu naraz pani wzdycha. Czyżby przypomniała sobie pani jakąś niezwykle smutną rozmowę telefoniczną?

Bajka ze śmietniska

« 95 »

(Zrozumcie tę ciekawość — stara gramatyka była otwarta akurat na stronie, na której omawiano zdania pytające.)

— Gdzie tam przypomniałam sobie, właśnie wysłuchałam! — zawołała słuchawka telefoniczna. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że słuchawka telefoniczna była wprawdzie pęknięta, gdyż pewien ważny urzędnik mocno nią trzasnął (nie trzasnął nią, jak mylnie przypuszczacie, podczas denerwującej rozmowy z innym ważnym urzędnikiem, lecz dlatego, że uwierał go gwóźdź w bucie i chciał go sobie wybić), ale była to skądinąd bardzo doświadczona słuchawka, która podczas swojej służby w ważnym urzędzie nabyła takiej praktyki, że odbierała nawet odległe głosy, które wcale nie płynęły po drucie. Odbierała je także po pęknięciu. Tak, tak, słusznie pomyśleliście: bałwany. Nie wiedzieli, jaką pożyteczną rzecz wyrzucili. Ta zatem słuchawka odebrała odległe głosy członków rady miejskiej i zaraz potem powiadomiła o ich decyzji pozostałe rzeczy:

— Jutro o świcie przyjdą i podpalą nas. Ponoć zasłaniamy słońce!

— Nie wierzcie jej! — zawołały stare drzwi. Były niegdyś drzwiami pewnego człowieka, który nazywał się Tomasz Niewierny, i od niego nauczyły się niczemu nie wierzyć.

— Wierzcie jej! — powiedział poplamiony czarodziejski cylinder. Wyrzucił go jego pan, czarodziej Makaroni, gdyż publiczność wyśmiewała się z jego plam na cylindrze i ze śmiechu zapominała oklaskiwać jego wspaniałe czarodziejskie sztuczki. Cylinder pomimo plam nadal był czarodziejski i wiedział wszystko, czego nie wiedzieli inni.

— Wierzcie jej! — powtórzył czarodziejski cylinder. — Słuchawka mówi praw-

RÓŻNE

dę. Wiecie przecież, że ja oprócz innych rzeczy potrafię bardzo dokładnie odróżniać prawdę od kłamstwa, ponieważ słyszę w kolorach. Głos wydobywający się ze słuchawki miał kolor prawdy.

(Jaki kolor ma prawda, to już, naturalnie, czarodziejski cylinder zachował dla siebie.)

Zaledwie czarodziejski cylinder skończył mówić, stara butelka, w której na dnie znajdowała się jeszcze odrobina amoniaku, tak westchnęła, że rozleciała się na tysiąc drobnych kawałków i amoniak rozprysnął się we wszystkie strony i wszystkie rzeczy zaczęło naraz szczypać w oczy i żałośnie się rozpląkały.

Rzeczy, które potrafią mówić i płakać, powinny też umieć chodzić — powiecie. I będziecie mieli rację. Rzeczy naprawdę po krótkim płaczu uznały za najrozsądniejsze nie czekać, aż przyjdą je podpalić, i rozeszły się po świecie. Stało się to na moje wielkie szczęście — już zaczynałem się obawiać, że zepsuję tę bajkę, bo łatwo jest zepsuć bajkę, w której znajduje się wiele rzeczy na kupie, jedna na drugiej. Ale — było i nie ma. Idźmy śmiało dalej. A właściwie — wróćmy o jedno zdanie wcześniej.

— Było i nie ma — stwierdził następnego dnia rano brodaty człowiek w traktorach stojący w miejscu, gdzie jeszcze wczoraj piętrzyło się śmietnisko. Wraz z brodatym człowiekiem w traktorach stało na tym miejscu jeszcze dwóch ludzi, i oni także byli brodaci i także mieli traktory, zatem od pierwszego człowieka w traktorach różnili się tylko tym, że byli to brodaci ludzie w traktorach, którzy na razie nic nie stwierdzili.

Na pewno już odgadliście, że była to francuska wyprawa wysokogórska. Nazwi-

BAJKI

« 96 »

HT

ska alpinistów były bardzo trudne, toteż nie będę was męczył ich wymienianiem. Musicie zadowolić się informacją, że były to nazwiska szeroko, daleko znane. Właściciele tych nazwisk zdobyli już wszystkie możliwe szczyty, na taki Mont Blanc na przykład wspinali się już wyłącznie dla treningu, pomiędzy zupą a następnym daniem niedzielnego obiadu i wspinaczka już ich powoli przestawała bawić, aż tu naraz usłyszeli, że pod pewnym miastem w Słowacji wznosi się olbrzymia góra przesłaniająca słońce. Wieść, która dotarła do ich uszu, nie zawierała być może wzmianki o tym, że chodzi o górę śmieci, ale nawet gdyby ją zawierała, naszych alpinistów taki szcze-

Bajka ze śmietniska

« 97 »

gół nie interesował. Najważniejsze było to, że jest to góra, i to góra olbrzymia, a zatem tego, kto pierwszy zatknie na jej szczycie flagę, czeka nieśmiertelna sława. Na pozostałych górach flagi dawno zostały zatknięte, ale ta góra była nowa, dotychczas nie zdobyta, dopiero niedawno naniesiona na mapę Europy! Nic dziwnego, że francuscy alpiniści na wieść o niej jednocześnie wskoczyli w traktory, jednocześnie porośli brodami, jednocześnie zarzucili na ramiona francuskie flagi — i hajda w drogę!

Jaka niespodzianka czekała ich, gdy mapa Europy doprowadziła ich do celu podróży — już wiecie.

— Do diaska! — powiedział teraz drugi Francuz. — Trafiliśmy do zagadkowego kraju. Nie tylko nie ma tu olbrzymiej góry, która miała się tu znajdować, ale i sposób mieszkania jest tu jakiś dziwny. Domu ani śladu, a drzwi prowadzą ot tak, wprost do ziemi!

I Francuz palcem wskazał na ziemię, a pozostali dwaj Francuzi też spojrzeli w tym kierunku i zobaczyli, że rzeczywiście mówi prawdę. Zobaczyli bowiem leżące tam stare drzwi.

Zapomniałem wam powiedzieć — stare drzwi Niewiernego Tomasza były jedyną rzeczą, która nie opuściła śmietniska. Z jednej strony, jak wiecie, nie uwierzyły w alarmującą wiadomość słuchawki telefonicznej. A z drugiej... ale czytajcie dalej.

— Byłoby chyba rozsądnie zapukać i zapytać, jak mamy to wszystko rozumieć — powiedział trzeci Francuz. I zaraz też ukląkł na ziemi przy drzwiach i mocno zastukał.

Naturalnie — spoza drzwi nikt się nie odezwał.

Na próżno stukał Francuz ponownie, na próżno także dwaj pozostali Francuzi

RÓŻNE

poklękali, żeby temu pierwszemu pomóc w stukaniu — ciągle nic.

Kto nie może się dostukać, zazwyczaj zagląda przez dziurkę od klucza. Tak samo nasi Francuzi.

Jeden odchylił klapkę, drugi przyłożył oko, trzeci nadstawił uszu, żeby słyszeć, gdy ten drugi wykrzyknie, co widzi. Ale ten drugi, zaledwie przyłożył oko, już je momentalnie gwałtownie oderwał. Wykrzyknął tylko:

— Ach!

A przez odsłoniętą dziurkę od klucza wyleciał piękny motyl.

I ujrzeni go wszyscy trzej Francuzi i wszyscy trzej Francuzi wykrzyknęli:

— Ach!

To dlatego, że nigdy jeszcze nie słyszeli, żeby w ziemi, za normalnymi ludzkimi drzwiami, miały swoje siedziby piękne motyle.

I „Ach!” zawołały same do siebie także drzwi. To „Ach!” drzwi było pełne zawodu i smutku. Dla wyjaśnienia: te drzwi zawsze bardzo pragnęły mieć kolekcję pięknych motyli. Ale oczywiście — jakże mogłyby drzwi, wiszące na zawiasach, wybrać się na motyle? Tak więc nasze drzwi żyły bez kolekcji aż do chwili, gdy Niewierny Tomasz, u którego służyły, przeprowadzał się do innego miasta. Na wóz przeprowadzkowy załadował wszystko, co należało do niego, a ponieważ na wozie przeprowadzkowym zostało jeszcze nieco miejsca, zdjął z zawiasów drzwi i załadował je także, chociaż do niego nie należały. I wóz przeprowadzkowy ruszył w drogę, a droga wiodła poprzez łąki, a drzwi patrzyły z wozu przeprowadzkowego i naraz ujrzały, że ponad łąkami fruwały piękne motyle i jeden z nich jest akurat w ich zasięgu. Okazja, jaka już

BAJKI

« 98 »

nigdy się nie trafi! Drzwi bez wahania wypadły z wozu przeprowadzkowego, przytrzasnęły motyla i już go miały!

Jeśli już nie kolekcję, to przynajmniej jednego.

Ludzie, widząc gdziekolwiek jakąś starą rzecz, zaraz rzucają tam następną. Ni stąd, ni zowąd wyrosło na łące nad starymi drzwiami śmietnisko. A dalszy ciąg już znacie. Wiecie już także, dlaczego drzwi pozostały na łące, gdy pozostałe rzeczy uciekły: nie chciały zrezygnować ze swego motyla. Francuscy alpińscy przyczynili się jednak do tego, że musiały z niego zrezygnować. I drzwi zrezygnowały z niego

Zaginiona

Bajk owa historia detektywistyczna — bo i takie bywają — no więc bajkowa historia detektywistyczna, którą chcę wam opowiedzieć, zaczyna się w chwili, gdy w stolicy królestwa, którego nazwy nie wymienię, dzwony na wieży zamkowej wydzwaniają północ.

Bicie dzwonów budzi ze snu królową Eulalię Zagumienną. A właściwie, aby zachować ścisłość: królowej Eulalii śni się, że dzwony budzą ją ze snu. Śni jej się także to, co następuje dalej.

Królowa Eulalia siada na łóżku. Przez chwilę nieruchomo patrzy w ciemność, potem cichutko woła:

— Emil!

Nikt jej nie odpowiada.

— Emil! — woła królowa jeszcze raz,

Zaginiona

z ciężkim sercem, ale w końcu pomyślały: „Najpiękniejsza kolekcja motyli to kolekcja motyli fruujących nad łąką! A ponieważ na tej łące leżymy my, więc właściwie kolekcja motyli fruujących nad tą łąką jest nasza, więc gdzie problem?”

Problemu nie było i drzwi do dzisiaj spokojnie leżałyby na łące obserwując swoją fruującą kolekcję motyli, gdyby w krótkim czasie nie wyrosła nad nimi nowa góra śmieci.

Wspominam o niej głównie ze względu na was, słowaccy alpiniści, żeby nie zdarzyło się znowu tak, że obcokrajowcy dowiedzą się o niej wcześniej od was.

królowna

tym razem głośniej. Sąsiednie łóżko skrzypi i siada na nim zaspany król Emil Za-gumienny.

— Czemu mnie wyrywasz ze snu, Eulalio, chce ci się pić? — pyta rozdrażniony.

— Nie chce mi się pić, ale mam takie nieprzyjemne uczucie, że stało się właśnie coś strasznego — odpowiada królowa Eulalia.

— Baniałuki — warczy król Emil. — Zawsze ci mówię, żebyś nie jadła na kolację końskich parówek. Masz po nich ciężkie sny.

— Kiedy ja tak strasznie lubię końskie parówki — wzdycha królowa Eulalia.

— Możesz jadać je na obiad — odpowiada król Emil i odwraca się na drugi bok. Po chwili chrapie, aż tynk się sypie.

królowna

« 99 »

Oczywiście, śni się dalej królowej Eulalii — następnego dnia wyszło na jaw, że w nocy zniknęła królowna Hiacynta Za-gumienna i giermek Józio Wilczek, który tej nocy trzymał straż pod drzwiami komnaty królowny. Król Emil natychmiast wydał rozkaz, by powleczono całe królestwo

czarnym suknem i przy wtórze bębna ogłoszono, że da pół królestwa w nagrodę temu, kto królową Hiacyntę odnajdzie.

Następnego dnia po ogłoszeniu kazał zaprowadzić się przed króla młody mężczyzna, który przedstawił się jako detektyw Kopciuszek.

— Panie Kopciuszek — natarczywie zwrócił się do niego król Emil. — Ja i moja małżonka Eulalia wiele już o panu słyszeliśmy i mocno wierzymy, że uda się panu odnaleźć nie tylko naszą córkę Hiacyntę, ale i tego nikczemnika Józia Wilczka, który ją porwał.

— Widział ktoś, jak ją porywa? — zapytał sucho detektyw Kopciuszek, nie wyjmując z ust eleganckiej krótkiej fajeczki.

— Co to, to nie — powiedział zmieszany król Emil. — Ale wszystko świadczy...

— ...o tym, że będę musiał przeprowadzić w zamku dokładną rewizję — przerwał królowi Emilowi detektyw Kopciuszek. — Czy ma pan coś przeciwko temu?

— Ależ skąd! — zawołał król Emil. — Daję panu pełne prawo do zrewidowania -każdego zakamarka!))) — Dziękuję — powiedział detektyw Kopciuszek — Proszę wyłożyć na stół zawartość swoich kieszeni!

— Ja? — zapytał król Emil ze zgrozą.

— A niby kto? — odpowiedział detektyw Kopciuszek.

Jego tajemnicza odpowiedź do reszty króla Emila zmieszała. O nic już nie pytał. Jedną po drugiej wykladał ze swych kieszeni na stół następujące rzeczy: legitymację królewską, kilka glinianych kulek, fotografię aktorki filmowej Claudii Cardinale, klucz od skarbca królewskiego, wytrych i karteczkę, na której było napisane: „Kupić 1 litr zwykłego, 1 litr pełnotłustego, drożdże i fortepian”.

ROŻNE BAJKI

« 100 »

Detektyw Kopciuszek sięgnął do kieszeni swojej kraciastej marynarki i wyciągnął lupę.

Potem wziął fotografię aktorki filmowej Claudii Cardinale i trzymając ją tak, żeby widział to także król Emil, przyłożył lupę do fotografii. Pod lupą okazało się, że za przeźroczystą firanką w jednym z okien domu, przed którym sfotografowano aktorkę, znajduje się stolik, a przy stoliku siedzą trzech mężczyźni.

— Czy zna pan któregoś z tych mężczyzn? — zapytał detektyw Kopciuszek.

— Nie — pokręcił głową król Emil.

— Hm, hm — powiedział detektyw Kopciuszek, któremu fotografia aktorki ogromnie się podobała. — Tę fotografię, za pańskim łaskawym zezwoleniem, zatrzymam, pozostałe rzeczy może pan schować z powrotem do kieszeni.

Potem detektyw Kopciuszek podszedł do okna. Z okna był dobry widok na całe miasto.

— Zwyczaj obciągania miasta czarnym sukniem w wypadku zniknięcia królewien jest, o ile się nie mylę, pradawny — zauważył.

— Tak jest — potwierdził król Emil.

— Zna go zatem każdy obywatel "królestwa, także i sukiennik. Ile pan zapłacił mu za czarne sukno?

— Sto tysięcy — przyznał król Emil.

— Ładny grosz — pokiwał głową detektyw Kopciuszek — Opłaciłoby się dla niego porwać królowę!

— Podziwiam pańską bystrość! — zawołał król Emil. — O czymś takim nawet nie pomyślałem! Natychmiast każe przyprowadzić sukiennika.

— Zrobiłem to za pana — powiedział detektyw Kopciuszek wskazując na drzwi.

Drzwi rozwarły się i strażnicy wciągnęli do środka miotającego się jegomościa.

Zaginior,

— Ależ to jest pisarz Sukiennik! — zawołał król Emil, który znał pisarza Sukiennika jeszcze z zawodówki. — To nie jest sukiennik przez małe „s”!

— Duże „S”, małe „s”, jeśli zamierza pan opierać się na takich szczegółach, nie mogę zaręczyć za powodzenie dalszych poszukiwań — powiedział detektyw Kopciuszek ze zniechęceniem.

I w tej samej chwili pisarzowi Sukiennikowi udało się na chwilę wyrwać strażnikom. Sięgnął do kieszeni i z kieszeni wyciągnął datę. Pisarz Sukiennik był bowiem znany z tego, że pod każdym swoim dziełem umieszczał datę, kiedy to dzieło napisał. Były to przeważnie bardzo stare daty, toteż wzbudzały wielki szacunek. Ludzie z uznaniem kiwali głowami nad dziełami pisarza Sukiennika.

— Wyobraźcie sobie — mówili — on to dzieło, jak wynika z daty, napisał w czasie, gdy jeszcze nikt inny podobnych dzieł nie pisał.

I zaraz wszyscy przed jego dziełem zdejmowali kapelusze. A kto nie miał kapelusza, szybko go sobie kupował.

Słowem — daty pisarza Sukiennika były jego silną bronią. Zrozumiałe więc, że teraz, walcząc ze zbrojnymi strażnikami, musi sięgnąć po swoją najsilniejszą broń. I wyciągnął z kieszeni datę 1.1.1. Pierwszego pierwszego, roku pierwszego! Ta data ma, jak wiadomo, kształt trójzębu — broni, której używa także Neptun, król podmorskich głębin. Machnął pisarz Sukiennik datą-trójzębem, wypuścił ją z ręki i data leciała, leciała, leciała — prosto w kierunku piersi królowej Eulalii! A za piersiami prawdopodobnie znajdowało się serce!

— Ach! — krzyknęła królowa Eulalia

— i obudziła się. Tym razem naprawdę.

— Czemu mnie wyrywasz ze snu, Eula-
królowna

« 101 »

lio, pić ci się chce? — zapytał rozdrażniony król Emil, który obudził się w sąsiednim łóżku.

— Nie chce mi się pić, ale mam takie nieprzyjemne uczucie, że właśnie stało się coś strasznego — odpowiedziała królowa Eulalia.

— Znowu śniło ci się, że zniknęła nasza córka Hiacynta, co? — zapytał król Emil.

— Ano znowu — odpowiedziała królowa Eulalia.

Królewscy małżonkowie westchnęli z udręką, wstali i pobiegli do komnaty, w której sypiała ich córka.

Królewny w komnacie nie było. Naprawdę zniknęła.
Co miał król Emil robić? Otworzył szafkę, w której królowa Hiacynta trzymała zabawki, wyjął bęben i przy jego wtórze rzecz obwieścił.

Zaledwie skończył, otworzyły się drzwi i w progu stanął młody mężczyzna w kraciatej marynarce, z elegancką krótką fajeczką w ustach.

— Jestem detektyw Kopciuszek — przemówił młody mężczyzna głębkim głosem. — Słyszałem, co pan obwieścił. Odnalezienie pańskiej córki to dla mnie drobnostka. Prosiłbym tylko o kilka podstawowych informacji. To jest jej pierwsze zniknięcie, czyż nie tak?

— Gdzież tam! — zawołał król Emil. — Gdzież tam pierwsze! Znikała już, o ile się nie myślę, tysiąc dwieście trzydzieści

RÓŻNE BAJI

« 102 »

cztery razy! Proszę powiedzieć, panienko, czy to trochę nie za wiele?

— Nie jestem panienką, jestem detektyw Kopciuszek — powiedział detektyw Kopciuszek z obrażoną miną.

— Dzisiaj ja jestem detektywem! — zawołał król Emil.

Z tymi słowy wyrwał detektywowi Kopciuszkowi z ust elegancką krótką fajeczkę. A następnie on i jego żona, królowa Eulalia, zawołali:

— Przecież to Hiacynta! Chwała Bogu, znalazła się!

Tak skończyło się tysiąc dwieście trzydzieste czwarte zniknięcie królowy Hiacynty. Znowu szczęśliwie.

— A teraz — powiedział król Emil — teraz daj z tym znikaniem na parę dni spokój. Czytaj sobie kryminały i pozwól nam panować.

Królowa Hiacynta była bowiem namiętną czytelniczką powieści detektywistycznych pisarza Sukiennika. Przeczytała ich sterty i wzorując się na nich, prawie codziennie znikła, za każdym razem w inny sposób, i trzeba było jej szukać.

Królowej Eulalii śniło się to każdej nocy. Nikt nie potrafił sobie wyobrazić, jakie to były wspaniałe sny, w których splatały się ze sobą tysiąc dwieście trzydzieści cztery różne historie. Właściwie każdy potrafił to sobie wyobrazić.

Każdy, kto o tym czytał, lecz na ostatniej stronie nie liczył na ten rymowany koniec.

Vi

S f?

"" "" "■" ■ " : "" '*""

I

Czarodziej i

IVAieszkał w naszym mieście czarodziej Baccardi i temu czarodziejowi wiatr porwał kiedyś z głowy cylinder. Dwa tygodnie latał cylinder ponad chmurami, nocowały w nim podczas swych dalekich podróży ptaki przelotne.

Po dwóch tygodniach jednak wiatr naraz ucichł i czarodziejski cylinder opadł z nieba do pewnej kwiaciarni, prosto pomiędzy doniczki. Była to kwiaciarnia kwiaciarki Ramony. Tego samego dnia kwiaciarka Ramona ze zdziwieniem spostrzegła, że w jednej doniczce wyrósł jej dziwny kwiat. Żeby to kwiat! Było to drzewko. Drzewko jak wieszak. A na drzewku-wieszaku wisały dziwne owoce. Zerwała kwiaciarka Ramona jeden dziwny owoc i

spróbowała go. Spróbowała i zaraz splunęła. Dziwny owoc wcale nie był smaczny. Ugotowała kwiaciarka Ramona z kilku owoców kompot. Ale kompot był wprost obrzydliwy. A wówczas kwiaciarka Ramona zauważyła, że te dziwne owoce są właściwie kapeluszami. Każdy inny, ale wszystkie bardzo szykowne i z porządnego materiału. Rozdała kwiaciarka Ramona wszystkie kwiaty i przemianowała swoją kwaciarnię na sklep kapelusznicy. A co robił tymczasem nasz czarodziej Baccardi? Bez czarodziejskiego cylindra czarować nie mógł, więc łąził bez celu po mieście i przeklinał wiatr. Kto przeklina — musi zgłodnieć. Był w naszym mieście (górski hotel. Czarodziej Baccardi wszedł do górskiego hotelu zamierzając porządnie sobie podjeść.

— Chciałby pan zjeść coś tańszego, czy

Czarodziej

kwiaciarka

też coś droższego? — zapytał czarodzieja Baccardiego kelner.

— Chciałbym zjeść coś, co jest za darmo — odpowiedział czarodziej Baccardi, bo nie miał ani halerza.

— Uf! — powiedział kelner. — Darmowego żywienia jeszcze w naszym hotelu nie wprowadziliśmy. Może za rok...

— Tyle czekać nie mogę! — zawołał czarodziej Baccardi.

— Więc niech pan sobie zarobi na jedzenie pracą społecznie użyteczną — powiedział kelner. — Jeden z naszych kucharzy został aktorem filmowym, mógłby pan zająć jego miejsce.

Co miał robić czarodziej Baccardi? Zaczął pracować jako kucharz. Ale, wiecie, jak kucharzy ktoś, kto nigdy przedtem nie kucharzył. Chciał czarodziej Baccardi założyć na głowę czapkę kucharską — założył na głowę kociołek. Chciał ubić w kociołku śmietanę, a ubijał ją w czapce kucharskiej. Zanim zdążył zorientować się w pomyłce, przeszkodziła mu w pracy syrena. Alarm! Zaginął jakiś taternik. Członkowie górskiego pogotowia przeszukiwali góry, przeszukiwali doliny, ale wszystko nadaremnie. Zaginionego taternika nie znaleźli. Wtedy czarodziej Baccardi ot tak mimochodem spojrział w jedną przepaść i co widzi? W zaspie śniegu na dnie przepaści ktoś siedzi. Zszedł czarodziej Baccardi na dno przepaści i wyniósł stamtąd zaginionego taternika żywego i zdrowego, trochę tylko zapłakanego, jak to już bywa z zaginionymi taternikami. Uradowani rodzice zaginionego taternika wypłacili czarodziejowi Bac-cardiemu nagrodę.

: kwiaciarka

« 105 »

Czarodziej Baccardi bez wahania nakupił za całą nagrodę jedzenia i najadł się do syta. Sytemu człowiekowi nie chce się pracować — syty czarodziej Baccardi postanowił, że z zawodu kucharza, który przed chwilą zaczął wykonywać, teraz zrezygnuje. I zaraz zaczął zdejmować z głowy kucharską czapkę. Jakież było jednak jego zaskoczenie, gdy przekonał się, że na głowie zamiast czapki kucharskiej ma kociołek! Jeszcze większe było zaskoczenie czarodzieja Bac-cardiego, gdy stwierdził, że zamiast w kociołku, ubijał śmietanę w czapce kucharskiej! Ale najbardziej ze wszystkiego zaskoczyło go to, że w bitej śmietanie na dnie kucharskiej czapki zauważył swoje własne ślady! Natychmiast uświadomił sobie czarodziej Baccardi, że tego zaginionego taternika wyniósł nie z zasy śniegu na dnie przepaści, tylko z zasy bitej śmietany na dnie czapki kucharskiej. I od razu wiedział, że czapka kucharska jest czarodziejska! A gdy dowiedział się od kelnera, że czapkę kucharską zakupił górski hotel w kapelusznictwie kapeluszniczki Ramony, wybrał się natychmiast czarodziej Baccardi do tego kapelusznictwa.

W kapelusznictwie ujrzał czarodziej Baccardi niesłychane rzeczy.

Stała tam jedna doniczka, z której wyrastało drzewko. Drzewko jak wieszak. A na drzewku-wieszaczku wisiało mnóstwo kapeluszy. Każdy inny. A wszystkie czarodziejskie.

Było tam skautowskie sombrero z szerokim rondem, po którym w obu kierunkach pędzili ścigający się cykliści.

III

"■-■●■"-.-■ ~л^Я

RÓŻNE BAJKI

« 106 »

Była tam uszanka ze słoniowymi uszami, a na niej lektyka, w której siedziała hinduska księżniczka, na czole miała wymalowaną kropkę, a na nosie wykrzyknik.

Była tam korona przypominająca fontannę, a z wielkiego diamentu na jej szczycie tryskały we wszystkie strony jak woda różnobarwne promienie i te promienie nieustannie podrzucały do góry białą piłeczkę, gdyż była to korona cesarskiej dynastii Ping-Pong.

Była tam rycerska przyłbica przypominająca czołg, a z jej otworu na oczy sterczało działo i strzelało do przyjaciół i nieprzyjaciół. Całe szczęście, że kule leciały powoli i można było się przed nimi uchylić.

Był tam włóczęgowski kapelusz z dziurą, która świeciła jak gwiazda i ze wszystkich stron były w nią wymierzone teleskopy i wszyscy astronomowie wołali: — Ja pierwszy ją odkryłem, ja, ja, ja!

Był tam damski kapelusz, którym jechali pasażerowie, gdyż ten damski kapelusz dotykał szpilkami drutów elektrycznych i jeździł tam i z powrotem jak tramwaj. A bilety z tego tramwaju były ważne także w kinie!

Była tam czapka z pomponem, a na tej czapce koło tego pomponu siedziała Jano-sikowa drużyna i patrzyła, jak Janosik przeskakuje przez pompon, gdyż ten pompon — to była zbójnicka watra! Watra, z której można było odcinać płomyki. Każdy członek Janosikowej drużyny nosił taki odcięty płomień w kieszeni i używał go do zapalania papierosów.

Był tam okręcik wojenny, którym płynął przez ocean Krzysztof Kolumb. Zamierzał Czarodziej «1

właśnie odkryć Amerykę i strasznie się cieszył, że zobaczy Indian i drapacze chmur.

Był tam myśliwski kapelusz z piórkiem za wstęgą, a przy nim siedział autor. Co chwilę wyciągał autor piórko spoza wstęgi, maczał je w kapeluszu, który był także kałamarzem, i pisał następne zdanie tej bajki.

A z wszystkich kapeluszy jak z głośników rozbrzmiewała piękna pieśń, z każdego inna, a w sumie tylko jedna, najpiękniejsza. Ta pieśń miała takie słowa:

Czarodzieju Baccardi, popatrzże na dół!

Spojrzał czarodziej Baccardi na dół i co zobaczył? Zobaczył, że doniczka, z której to drzewko-wieszak wyrastało, to nie żadna doniczka, tylko jego własny czarodziejski cylinder.

— Mój własny czarodziejski cylinder! — zawołał czarodziej Baccardi, wyszarpnął czarodziejski cylinder spod drzewka-wie-szaka i założył go na głowę.

A wówczas wszystko zniknęło. I drzewko--wieszak, i czarodziejskie kapelusze-głoś-niki.

Umilkła pieśń. A kapeluszniczka Ramona zawołała:

— No tak! I już nie jestem ani kapeluszniczka, ani kwiaciarką! Kim mam teraz być?

— Moją prawowitą małżonką! — powiedział czarodziej Baccardi.

No i było wesele. A na wesele zjechało się mnóstwo gości z całego świata i każdy z nich przywiózł jakiś kwiat, tak że można było znowu kapelusznictwo przemianować na kwiaciarnię.

f kwiaciarka

)7»

Meluzyna

J3yła raz pewna meluzyna, która nazywała się Józefina. Co robiła? Leciała. Leciała wzdłuż, leciała wszerek, a kto orientuje się w geografii, ten naturalnie odgadł, że tym sposobem nie mogła trafić nigdzie indziej, tylko do stolicy Słowacji — Bratysławy. Pierwszą rzeczą, jaka powitała ją w Bratysławie, były mocne podmuchy wieczornego wiatru, z zawodu gazeciarza. Ten wieczorny wiatr-gazeciarz roznosił wysoko ponad dachami domów strzępy gazet wykrzykując przy tym:

— Ekspres Wieczorny! Ekspres

Wieczorny! Dziś konkurs o złoty bratysławski

wiatrak! W ramach słowackiego narodowego

lata! Konkurują wiatry śpiewające

z całego świata! Wszystkie piosenki zostaną nagrane! Płyty już jutro kupicie w całym kraju!

Estrada: bratysławski zamek! Widownia: na pięknym błękitnym

Dunaju! Ekspres Wieczorny! Ekspres

Wieczorny!

— O — zawołała meluzyna Józefina. — Złoty bratysławski wiatrak to dla śpiewaka największe wyróżnienie! Zdobędę je!

Bez wahania wpisała się na listę konkursową, a potem wybrała się do klubu pisarzy poprosić kóregoś ze słowackich poetów, żeby szybko wymyślił dla niej nowy, piękny tekst do nowej, pięknej piosenki.

Ale do klubu pisarzy zwykły śmiertelny wiatr tak łatwo się nie dostanie.

— Stop! Ma pani legitymację człon-

RÓŻNE

Józefina

kowską? — obruszył się na meluzynę Józefinę przy wejściu niezwykle surowy głos.

— Nie mam. Co to takiego? — powiedziała meluzyna Józefina.

— Skoro pani nie ma i nie wie nawet, co to jest, to raczy pani zrobić w tył zwrot! — jeszcze bardziej obruszył się na meluzynę Józefinę surowy głos. — Jestem klubowy wentylator Emeryk. Owiewam tu i osuszam zmoczone atramentem palce słowackich poetów, dmucham im na rosół wołowy, żeby nikt sobie nim nie oparzył swego wyrafinowanego poetyckiego języka, a oprócz tego mam obowiązek zdmuchnąć z progu klubu każdego, kto nie ma legitymacji członkowskiej!

Nie zlekła się meluzyna Józefina surowego głosu, opowiedziała wentylatorowi Emerykowi, w jakiej ważnej i pilnej sprawie przybywa, a na zakończenie dodała:

— Niech mnie pan wpuści do środka, drogi wentylatorze Emeryku, jesteśmy przecież krewnymi!

To podziałało. Wentylatorowi Emerykowi bardzo pochlebiło to, że jest spokrewniony ze znanymi światowymi wiatrami.

— Hm — mruknął naraz zupełnie przyjaźnie. — Wie pani co? Wpuścić pani do środka nie mogę, ale jednak pani pomogę. W ciągu tylu długich lat, które tu przesłużyłem, przyswoiłem wszystko możliwe w zakresie sztuki poetyckiej. Proszę przez chwilę podmuchać przez okienko zamiast mnie na rosół poety Jambowicza, a ja tymczasem podumam i jakiś nowy, piękny tekst nowej, pięknej piosenki może dla pani wydumam.

Dmuchała meluzyna Józefina przez okienko na rosół wołowy poety Jambowi-

BAJKI

« 108 »

М I I I М , I j t

ДО!

,

V
Ч r
Ч-Ь<

-.



cza, dmuchała i dmuchała, a wentylator Emeryk zadumał się i dumał, i dumał.

A jednocześnie czas płynął i konkurs o złoty bratysławski wiatrak rozpoczął się.

Na czterech basztach bratysławskiego zamku zaczęli śpiewać najlepsi śpiewacy — wiatry ze wszystkich krajów świata. Na północnej baszcie śpiewały wiatry północne, na południowej — południowe, na wschodniej — wschodnie, a na zachodniej — zachodnie. Na pięknym błękitnym Dunaju organizatorzy rozstawili tysiące wygodnych fal, na których siedziały wiatry — słuchacze. Wiatry, dla których nie wystarczyło miejsc siedzących, zgromadziły się w parku na petralskim brzegu, gdzie znajdowały się miejsca stojące. No a galeria — jakżeby inaczej — znajdowała się na mostach.

Publiczność była wymagająca, ale potrafiła także okazać wdzięczność. Gdy któryś ze śpiewających wiatrów zyskał jej sympatię, okazywała mu ją poprzez zbiorowe mocne zadęcie. W takim momencie niejednemu przechodniowi na bratysławskiej promenadzie sfrunąłby kapelus, gdyby bra-tysławianie nie byli na to kulturalno-wietrz-ne wydarzenie przygotowani: wszyscy mieli tego dnia kapelusze poprzywiązywane do uszu konopnymi powrozami.

A wiatry śpiewały. Śpiewały wiatry nizinne i górskie, śpiewały wiatry lądowe i morskie. Adriatycka bora doprowadziła publiczność do łez przejmującą pieśnią o czechosłowackim turyście, który umiera z tęsknoty na brzegu morza. (Była to tęsknota za lodami — turysta nie miał już

Meluzyna Józefina

« 111 »

ani dinara.) Uroczy mistral z Francji musiał kilkakrotnie powtarzać swoją szan-sonetkę „Lezie lew do tramwaju”. Wielkie powodzenie miała też pieśń purgi. Przy refrenie „Jestem purga z Petersburga” biły brawo nie tylko wiatry na widowni, lecz także dachy niektórych domów, które uniosły się ponad miasto i trzepotały dachówkami jak ptaki skrzydłami.

Najwyższe wyróżnienie, złoty bratysławski wiatrak, zdobył jednak ostatecznie huragan Wili--Wili z Wysp Kokosowych, ponieważ nie tylko pięknie śpiewał, ale jury bardzo spodobało się także jego symetryczne imię. Wywołano również meluzynę Józefinę, ale gdy nie zjawiła się na baszcie nawet na trzecie wezwanie, przestano na nią czekać, rozdano pamiątkowe przedmioty i zakończono konkurs hymnem wiatrów, który zaśpiewały wspólnie wiatry--śpiewacy i wiatry--słuchacze. Potężny dźwięk hymnu zachwiał całym miastem i sprawił, że także w klubie pisarzy na ścianach zakołysały się wizerunki słowackich patriotów, a na stole przed poetą Jambowiczem podskoczył i przewrócił się talerz, na szczęście już pusty.

— Co to było? — zawołała przy okienku zdziwiona meluzyna Józefina.

— Hymn na zakończenie konkursu o złoty bratysławski wiatrak — odpowiedział jej dobrze poinformowany poeta Jambowicz, podczas gdy wentylator Emeryk wciąż jeszcze pogrążony był w zadumie.

Usłyszawszy to meluzyna Józefina rzewnie się rozpląkała. I płacząc wyrzucała wentylatorowi Emerykowi, że wszystkiemu on jest winien, że chociaż ona za niego przykładnie dmuchała, on dla niej nic nie wydumał, a konkurs śpiewaczy, na którym mogła zdobyć najwyższe wyróżnienie, skończył się bez jej udziału.

Ale wentylator Emeryk nadal pogrążony

był w zadumie i zamiast niego znowu odpowiedział meluzynie Józefinie poeta Jambowicz:

— Proszę go zostawić, panno meluzyno, nie widzi pani, że staruszek nieborak śpi? Co się stało, to się nie odstanie, ale może się stać coś zupełnie innego. Może się stać na przykład to,

że ja zrewanżuję się pani za wzorowe dmuchanie na rosół wołowy i wymyślę dla pani tekst piosenki, który będzie taki nowy i taki piękny, że wentylator Emeryk nigdy by takiego wymyślić dla pani nie potrafił!

— A na co mi on teraz, po konkursie? Najwyższe wyróżnienie już przepadło! — płakała dalej meluzyna Józefina.

— Pani myśli, że najwyższym wyróżnieniem dla śpiewaka jest złoty bratysławski wiatrak? Nie, tego pani nie może myśleć na serio! — roześmiał się poeta Jambowicz.

I zaraz w następnej chwili wymyślił dla meluzyny Józefiny tekst piosenki, który był jeszcze o wiele nowszy i o wiele piękniejszy, niż jej to pierwotnie obiecał. Gdy go meluzyna Józefina wysłuchała, gdy się go nauczyła i zaczęła śpiewać, przeszła jej ochota do płaczu i zachwycona zawołała:

— Och, jakież to dla mnie wyróżnienie, poeto Jambowiczu, że mogę śpiewać pański tekst! Doprawdy nie ma dla mnie wyższego wyróżnienia! To jest najwyższe!

Naturalnie domyślcie się, że te słowa zachwytu trafiły do ust meluzyny Józefiny w zupełnie prosty sposób: były dyskretną częścią tekstu, który dla niej wymyślił poeta Jambowicz.

Niestety pozostałych słów już nie znamy, bo poeta Jambowicz nie zapisał swego tekstu i wymyśliwszy go, zaraz potem zapomniał. Kto jest go ciekaw, niech słucha, co śpiewa mu w kominie meluzyna Józefina. Oczywiście, o ile śpiewa mu ona — jest bowiem kilka meluzyn.

BAJKI

« 112 »

O chodzącej chałupie

Janek i Jurek byli terchowianami, potomkami naszego przesławego bohatera Janosika, więc — jakżeby inaczej — także byli chłopcy na schwał, czy też jak to się zaczęło mówić w nowszych czasach — byli solidnie zbudowani. A drухy! Ech, jakież z nich były drухy!

Kiedy Janek spotkał Jurka, uradował się. — Druhu mój! — zawołał i klepnął Jurka po ramieniu z radości, że go widzi. Kość trzasnęła, przez trzy godziny musiał leżeć

Jurek zawinięty w liść babki. Ale po trzech godzinach po złamaniu nie było nawet śladu. Wyszedł Jurek na przyzbę i zobaczył Janka. — Druhu mój! — zawołał i uściskał go z radości, że go widzi. W trzech wsiach dachy pozrywało, tak w tym uścisku Jurek z Janka .dech wycisnął.

No i ci dwaj drухowie wybrali się razem w świat. Rano wyruszyli, zrobili parę porządnych kroków, dodali do tego jeszcze parę takich drobniejszych, żeby nie było

O chodzącej chałupie

«113»

gadania — i byli w Żylinie, od razu na rynku. Gdzie tylko spojrzeli, wszędzie dokoła nich słynne Żylińskie arkady, czy też — jak mówią weseli żylinianie — laubnie.

— Fiu, fiu, popatrz no, Jurek! — mówi Janek. — Tu ci mają chałupy, pod którymi można chodzić!

— Widzę, nie krzycz — mówi Jurek. — Zabierzemy jedną do Terchowej, jak się ściemni.

— I powiemy, że to chałupa z Ameryki! — mówi Janek.

— A jakże! — mówi Jurek. — Zresztą może tak i jest.

Czekali Janek z Jurkiem aż się ściemni, a czas sobie skracali mocząc nogi. Moczyli je sobie w wielkiej kamiennej misce na Żylińskim rynku, i chociaż jeden do drugiego nic nie mówił, obaj myśleli tak samo: — Dzisiaj chałupa, miska innym razem.

No a kiedy się ściemniło, stanął Janek pod jedną chałupą, objął rękami dwa słupy, jakby to były rzemienie, a Jurek pomógł mu zarzucić chałupę na plecy, jakby to była torba. I jazda w drogę! W Tepliczce się wymienili i bez kłopotów przywędrowali z chałupą aż do Terchowej, gdzie chałupa zsunęła się z pleców Jurka akurat obok karczmy Chwastka.

Noc już była głęboka, karczma Chwastka zamknięta, a pod karczmą pętał się tylko stary Chwastek z wiadrem, akurat poszedł nabrać sobie zimnej wody z potoku.

— Skądże to, panie Chwastek?

— Ano, wody sobie nagrzałem, kąpać się będę — mówi stary Chwastek. — A wy skąd, Janku i Jurku?

— Ano, z Ameryki — mówią Janek i Jurek. — Wysłużyliśmy tam sobie chałupę, pod którą można chodzić, i przynieśliśmy ją do Terchowej.

— O rany — uradował się stary Chwastek widząc, że młodzieńcy mają co przepić. Wiedział dobrze, że chałupa nie jest z Ameryki, ale co go to obchodziło? Wylał wodę z wiadra, otworzył karczmę i nie zamknął aż do rana.

Terchowskie koguty śpiewają w kurniku, że aż w Ameryce słycać „kukuryku” — a co dopiero w amerykańskiej chałupie, którą Janek z Jurkiem za taszczyli aż do Terchowej. A właściwie w Żylińskiej.

Na głos terchowskich kogutów obudził się w chałupie Żyliński wójt Piotr Polak z rodziną, bo chałupa należała do niego. Wygląda Żyliński wójt — co znaczy tyle, co starosta — przez okno, i co widzi? Zamiast rynku — panorama Fatry.

— Oj, ta rada miejska, to dopiero uprzejmi ludzie! — woła. — Stara, chodź zobaczyć! Poskarżyłem się na posiedzeniu, że przez to ciągle urzędowanie nie mam kiedy wybrać się na łono natury, i co wymyślili! Dostarczyli mi naturę pod okna!

Wyjrzała przez okno wójtowa żona Stefania, nie patrzyła tylko w dal, jak jej mąż, ale wychyliła się i spojrziała na przyzbę, i co widzi? Pełno terchowian — chodzą pod arkadami i chodzą, nachodzić się nie mogą.

— Oj, ty wójcie Żyliński, stary ośle! Z chałupą nas ktoś w nocy zataszczył do Terchowej, taka jest prawda!

Wyjrzał na przyzbę także wójt i widzi: rzeczywiście taka jest prawda. Są w Terchowej. Gdyby Piotr Polak, wójt Żyliński, nie mógł tego stwierdzić na podstawie czego innego, stwierdziłby to na tej podstawie, że od ludzi, którzy pod „laubnią” chodzili, pobierał po szóstaku stary Chwastek. Chwastkowie bowiem z dawien dawna byli

BAJKI

«114»

słynnymi karczmarzami, z dawien dawna znali ich także Żylińscy wójtowie.

— Panie Chwastek — zawołał Piotr Polak. — Niech mi pan, na Boga, wyjaśni, jak się wraz ze swoją chałupą dostałem do Terchowej!

— Dzień dobry, panie wójcie, witamy u nas — odpowiedział stary Chwastek. — Jak się pan z chałupą dostał do Terchowej, tego panu nie powiem, bo ruc mi o tym nie wiadomo, aż do tej chwili nie było pana wcale widać. Ale za to mogę panu powiedzieć, jak chałupa dostała się do Terchowej z panem. Przyszła około północy, zatrzymała się akurat przed moją karczmą, powiedziała, że dalej nie pójdzie za nic w świecie, i zażyczyła sobie pić. Przepiła równo czterdzieści dziewięć dukatów, ponoć mam ich zażądać od pana.

— Kłamiesz, Chwastek! — zawołał wójt Żyliński. — To przecie niemożliwe, żeby chałupa chodziła!

— Ja też się temu dziwiłem — powiedział stary Chwastek. — Ale potem powiedziałem sobie: przecież te słupy to właściwie nogi. W Żylinie na pewno po to robią nogi chałupom, żeby chałupy mogły sobie, jeśli będą miały ochotę, przyjść do Terchowej — i przestałem się dziwić.

— Uf! — zawołał Żyliński wójt. — Słyszysz, stara? Mieszkaliśmy w chodzącej chałupie i nic o tym nie wiedzieliśmy. Mogła z nami zajść aż do Ameryki — mieliśmy szczęście, że z nami zaszła tylko do Terchowej!

Ani Piotr Polak, wójt Żyliński, ani jego małżonka Stefania nie czekali, aż chałupa znowu ruszy i zajdzie diabli wiedzą gdzie, tylko natychmiast pożyczili od terchowian trzy wozy i

zaczęli wynosić z chałupy to, co najpotrzebniejsze, żeby z tym wrócić do Żyliay i zamieszkać gdziekolwiek, ale już nigdy przy rynku w takim domu, co ma nogi.

I tak została staremu Chwastkowi w Terchowej chałupa Żylińskiego wójta, i jeszcze mu wójt zapłacił te czterdzieści dziewięć dukatów, które chałupa przepiła — ba, zaokrąglił do pięćdziesięciu. I do dzisiaj stoi tam ta chałupa. Co mówicie, byliście w Terchowej i nie widzieliście jej? Ech, widzieliście ją, tylko nie zwróciliście na nią uwagi, bo stary Chwastek kazał pod nią dół wykopać i słupy aż po samo sklepienie arkad w ziemię wpuścić, żeby czasem któregoś dnia nie przyszła chałupie ochota urządzić sobie wycieczki choćby na Orawę.

Bowiem i na Orawie są Jankowie i Jurkowie, chłopaki jak się patrzy, którzy po świecie chodzą — ale o nich innym razem.

O chodzącej chałupie

« 115 »

w

**fr

B

Najpiękniejsza bajka na świecie

yl sobie pewnego razu dom, wokół domu był duży ogród, a ogród otoczony był płotem. Dom był mój, ogród był mój, więc jakżeby inaczej — i płot był mój. Albo co was będę okłamywał. Domu wcale tam nie było.

RÓŻNE BAJKI

«116»

Ogród był mój. Ale ten płot dookoła niego był mój.

Nie mógł być mój? No dobrze. W takim razie był tam i dom, i ogród, i płot, i wszystko to było moje.

A płot był czarodziejski! A jeśli nie czarodziejski, to w każdym bądź razie interesujący.

Interesujący dlatego, że każdego, kto przechodził obok płotu, bardzo interesowało, co jest za płotem.

Jakże mogło być inaczej! Przecież pierwszą rzeczą, jaką musiał zauważyć na płocie, była tabliczka z napisem TAJNE WEJŚCIE i strzałka. Tabliczka i strzałka pojawiały się co dziesięć metrów i każdy, kto szedł kierując się nimi, mógł chodzić w nieskończoność.

Tajnego wejścia nie znalazł i końca płotu także nie, bo płot ustawiony był kółkiem.

Pomiędzy dwiema tabliczkami i strzałkami zawsze było dość miejsca na dalsze ciekawostki.

W jednym z takich miejsc sterczały ostrza czterech gwoździ, a pomiędzy nimi niezmywalną kredą było napisane:

PO DRUGIEJ STRONIE PŁOTU

PRZYBITY JEST PLAKAT

Z NAJPIĘKNIEJSZĄ BAJKĄ

NA ŚWIECIE!

Mówicie, że te ostrza mogły jakiegoś przechodnia skaleczyć? O wszystkim pamiętałem.

Ostrza były posmarowane maścią penicylinową i jeśli tylko kogoś skaleczyły, zaraz też by go wyleczyły.

Kawałek dalej była dziura, właściwie byłaby, gdyby nie została — myślicie: zabita deską, prawda? Nie, dziura nie była zabita deską, tylko załatana łatą. Łatą

Najpiękniejsza

z prawdziwego czerwonego aksamitu. Ze troszkę za jaskrawe? Niebieskiego nie było.

A kawałek dalej w płocie był okrągły otworek, w którym poprzednio znajdował się sęk, ale teraz biło z niego piękne zielone światło i słychać było muzykę. Zdradzę wam wielką tajemnicę: gdy gasło światło, milkła także muzyka. Właśnie tak. I na odwrót.

A kawałek dalej część płotu stanowiła biblioteczkę. Ale na próżno przechodzień chciałby wyciągnąć „Alicję w krainie czarów” albo I tom encyklopedii Ottona, litera A, w którym mógłby wyczytać, kim ta „Alicja w krainie czarów” właściwie jest. Książki były upchane tak ciasno jedna obok drugiej, że w ogóle nie można ich było wyciągać. Tak to bywa w bibliotekach wielkich uczonych, którym w ogóle to nie przeszkadza, ponieważ wielcy uczeni już dawno przestali czytać — wszystko mają w małym palcu, którym bezradnie drapią się za uchem.

Kilka małych dziurek zasługiwało na uwagę dzięki temu, że przez nie spoza płotu wychodziły łodygi zakończone potężnymi kiściami nie znanych z nazwy tropikalnych kwiatów. Jak te potężne kiście przedostały się przez małe dziurki w płocie? Zagadka — ale bardzo prosta. Były to sztuczne kwiaty na drutach, które po-wtykałem w te dziurki od zewnątrz. Kwiaty stały w wazonach, które z kolei rozstawiłem wzdłuż płotu od wewnątrz. Nie zadawałem sobie trudu, by nalewać do wazonów świeżą wodę — kwiaty przecież, jak mówię, były sztuczne. Ale gdy do wazonów ponalewałem wina, sztuczne kwiaty, o dziwo, przepięknie tańczyły.

Ważną część płotu stanowiła kasa. Było to poziome, mniej więcej pięciocentymetro-we wycięcie, nad którym znajdował się

ijka na świecie

«117»

napis: OPŁATA ZA NIEWSTĘP DOBROWOLNA, i każdy, komu nie udało się wejść do mego ogrodu przez tajne wejście, choć obszedł płot już kilkakrotnie, mógł wrzucić opłatę za niewstępnictwo i pójść sobie. Ponieważ opłata za niewstępnictwo była dobrowolna, przeważnie nikt nic nie wrzucał, albo ludzie wrzucali mi karteczki, których treść wstydzę się odczytywać. Karteczek z czasem nabierało się tyle, że zniknął pod nimi dom i ogród, ba, pod ich ciężarem zawalił się płot i każdy, kto akurat wtedy przechodził ulicą, zobaczył go z drugiej strony i mógł sobie przeczytać najpiękniejszą bajkę na świecie.

Co to była za bajka? Taka oto: Był sobie pewnego razu dom, wokół domu był ogród, a ogród otoczony był płotem.

Dom był mój, ogród był mój, więc jakżeby inaczej — i płot był mój. Albo co was będę okłamywał. Domu wcale tam nie było.

Ogród był miejski. Ale ten płot dookoła niego był mój.

Nie mógł być mój? No dobrze. W takim razie był tam i dom, i ogród, i płot, i wszystko to było moje.

Już raz tę bajkę słyszeliście?

Nic na to nie poradzę. Skoro płot ustawiony był kuliście, bajka na nim też musiała być napisana kuliście.

Co takiego, to nie jest najpiękniejsza bajka na świecie, bo znacie jeszcze piękniejszą?

Ech, wy nicponie! Wy czytacie książki od końca! Wy wiecie, że następna jest bajka „Złoteńko”!

RÓŻNE BAJKI

« 118 »

ЗВН

ЗЛОТЕНКО

Rozdział pierwszy,

w którym dowiesz się o tym, jak usłyszeliśmy wołanie

„Złoteńko!”

iewnego dnia ja i moja najlepsza koleżanka Olga wybraliśmy się nad rzekę.

Nad rzekę od domu, w którym mieszkała Olga z rodzicami, szło się w ten sposób, że przechodziło się przez most, potem za mostem trzeba było uważać, żeby nie wpaść do dołu, a

za dołem znajdowały się już drewniane schodki, które prowadziły pod most, a pod mostem były stare beczki od smoły, a za tymi beczkami była już rzeka. Ruszyliśmy zatem spod domu, w którym mieszkała Olga ze swymi rodzicami, i szliśmy trzymając się przy tym za ręce.

— Uważajcie — wołała za nami mamusia Olgi — nie wpadnijcie za mostem do dołu!

— Dobrze — zawołaliśmy. — Będziemy! Szliśmy i szli i właśnie przechodziliśmy przez most, gdy wtem naraz, nie wiadomo skąd i gdzie, rozległo się całkiem blisko wołanie:

— Złoteńko!

Rozejrzałem się, kto też to może wołać.

Olga też rozejrzała się, kto też to może wołać.

Ale nigdzie wokół nie było w tej chwili oprócz nas dwojga ani żywej duszy.

Bałem się więc, że mi się to tylko wydaje.

Olga też się bała, że jej się to tylko wydaje.

— Dlaczego się rozglądasz? — zapytałem Olę.

I poszliśmy dalej.

Przeszliśmy przez most, za mostem uważaliśmy, żeby nie wpaść do dołu, a za dołem były już drewniane schodki, po których zaczęliśmy schodzić w dół. Ale jeszcze zupełnie nie zesliśmy, byliśmy dopiero w połowie, gdy wtem naraz, nie wiadomo, skąd i gdzie, rozległo się całkiem blisko wołanie:

— Złoteńko!

Spojrzałem w dół na schodki przed sobą, obejrzałem się w górę na schodki za sobą, Olga też spojrzała w dół na schodki przed sobą, obejrzała się w górę na schodki za sobą, ale znowu, tak jak przedtem, nie było w tej chwili nigdzie wokoło oprócz nas dwojga ani żywej duszy.

I znowu bałem się, że mi się to tylko wydaje.

Olga też się bała, że jej się to tylko wydaje.

— Dlaczego się rozglądasz, wołał ktoś? — zapytałem Olę.

— A ty dlaczego się rozglądasz, wołał ktoś? — zapytała mnie Olga.

— Ja się rozglądam tylko tak sobie — powiedziałem.

— I ja się rozglądam tylko tak sobie — powiedziała Olga.

I poszliśmy dalej.

Zesliśmy po schodkach w dół i znaleźliśmy się pod mostem i zaczęliśmy iść

— A ty dlaczego się rozglądasz? — za- pomiędzy tymi starymi beczkami od smoły, pytała mnie Olga. a za nimi już słyszeliśmy rzekę, gdy wtem

— Ja tak sobie — odpowiedziałem. naraz, nie wiadomo, skąd i gdzie, rozległo

— Ja też tak sobie — powiedziała Olga. się całkiem blisko wołanie:

ZŁOTENKO

« 120 »

r

— Złoteńko!

A było to akurat w chwili, gdy ja nie widziałem Olgi i Olga nie widziała mnie, bo obchodziliśmy pewną wielką beczkę, Olga z prawej strony, a ja z lewej.

Przyłożyłem więc ucho do tej beczki, bo myślałem, że to w niej coś tak woła, i zawołałem cichutko, tak, żeby nie usłyszała Olga po drugiej stronie beczki:

— Czy woła tu ktoś „Złoteńko“?

A Olga po drugiej stronie też przyłożyła ucho do tej beczki, bo myślała, że to w niej coś tak woła.

Usłyszała moje cichutkie wołanie i zawołała:

— Ktoś woła, ale nie wiem, kto.

— A na kogo woła, jak myślisz? — zawołałem po swojej stronie beczki.

Rozdział pierwszy

« 121 »

- Nie wiem, może na nas — zawołała Olga po swojej.
- Ale przecież żadne z nas nie nazywa się Złoteńko — zawołałem.
- Może nie wie, jak się nazywamy — zawołała Olga.
- A jak myślisz, czego chce? — zawołałem.
- Może nas potrzebuje albo myśli, że my go potrzebujemy — zawołała Olga.
- Poszukajmy
- Poszukajmy nie Olga.

Wyszliśmy więc Olga z prawej chwyciliśmy się mnieliśmy o tym, rzekę, którą było mi, i zaczęliśmy „Złoteńko!”

go — powiedziałem. — powiedziała energicz-
zza tej wielkiej beczki, strony, a ja z lewej, znowu za rękę, zapo-że chcieliśmy pójść nad
już słysząc za beczka-szukać tego, kto wołał:

Na

Rozdział drugi,

w którym dowiesz się, jak szukaliśmy tego,

kto wołał: „Złoteńko”, i jak przestraszyliśmy się pana Lola Materii

lajpierw zawołaliśmy pomiędzy starymi beczkami:

— Halo! Czy ktoś tu wołał „Złoteńko”? Ale nikt nam nie odpowiedział. Wyszliśmy
spomiędzy starych beczek

i zaczęliśmy wchodzić po drewnianych schodkach, a gdy doszliśmy do połowy,

zatrzymaliśmy się i po raz drugi zawołaliśmy:

— Halo! Czy ktoś tu wołał „Złoteńko!”? Ale nikt nam nie odpowiedział. Weszliśmy po
schodkach na samą górę,

przed mostem uważaliśmy, żeby nie wpaść do dołu, weszliśmy na most, a na moście

zatrzymaliśmy się i po raz trzeci zawołaliśmy:

— Halo! Czy ktoś tu wołał „Złoteńko!”? Ale nikt nam nie odpowiedział. Tylko, nie
wiadomo skąd, pojawił się

stary siwy wróbel. Pojawił się, zatrzepotał skrzydełkami i usiadł w pobliskim otwartym oknie.

A z wewnątrz odezwał się czyjś głos:

— A, przyjaciół wróbel. Dobry wieczór.

— Przecież to już wieczór — powiedziała Olga. — Musimy śpieszyć się do domu, bo
mamusia będzie się denerwowała.

— No to się śpieszmy — powiedziałem. I pośpieszyliśmy do domu.

A przed domem, w którym mieszkała Olga ze swoimi rodzicami, już chodziła tam i z
powrotem mamusia Olgi i denerwowała się.

— Gdzie się podziewacie, dzieci, nie widzicie, że już wieczór? — zawołała.

— Tu jesteśmy — zawołaliśmy. — Widzimy, że już wieczór, ale nie zauważyliśmy, kiedy
przyszedł, bo ktoś do nas wołał „Złoteńko”, a my go szukaliśmy.

— Któż to do was wołał? — zapytała mamusia Olgi.

— Tego właśnie nie wiemy — powiedziałem.

— Nie chciał się nam pokazać — powiedziała Olga. — Nie wiesz, mamusiu, kto to mógł
być?

ZŁOTEŃKO

« 122 »



— Nie wiem — powiedziała mamusia Olgi. — I marsz już do stołu. Ile mam czekać na
ciebie z kolacją?

I wtem, właśnie gdy mamusia Olgi to mówiła, nie wiadomo, skąd i gdzie, rozległo się całkiem
blisko wołanie:

— Złoteńko!

— Teraz, mamusiu, słyszałaś? — zawołała Olga.

— To było gdzieś tu, w łopuchach pod płotem! — zawołałem i uniosłem jeden łopuch, ale chyba nie ten właściwy.

— Nic nie słyszałam — powiedziała mamusia Olgi. — Lepiej biegnij i ty do domu, na pewno twoja mamusia martwi się już o ciebie!

Pobiegłem więc do domu.

I przyszła noc i spaliśmy, i o wszystkim zapomnieliśmy, a rano wstaliśmy i znowu o wszystkim sobie przypomniaлиśmy.

Rano powiedziałem do swojej mamusi:

— Do widzenia, mamusiu, idę do swojej koleżanki Olgi.

— Dobrze — powiedziała mamusia. — Tylko nie szalejcie, żeby wam się coś nie stało.

— Nie bój się, mamusiu, mamy poważną pracę — powiedziałem.

— Poważną pracę? — zapytała mamusia. — Jaka poważną pracę?

— Ktoś do nas ciągle woła, a my chcemy go znaleźć — powiedziałem.

— Uważajcie, żeby nie zrobił wam krzywdy — powiedziała mamusia.

— Nie bój się, mamusiu, on nie robi krzywdy — powiedziałem. — On woła „Złoteńko!”.

Pobiegłem więc znowu do swojej najlepszej koleżanki Olgi.

Obok domu, w którym mieszkała Olga ze swoimi rodzicami, był ogródek, a w tym ogródku była ławeczka pod bzem. Weszliśmy

do tego ogródka, usiedliśmy na ławeczce pod bzem i rozmyślaliśmy, jak będziemy dalej szukać tego, kto wołał do nas wczoraj „Złoteńko!”.

— Jak myślisz, zawoła jeszcze? — zapytała Olga.

— Zawoła — powiedziałem.

Tyle wymyśliliśmy i rozmyślaliśmy dalej.

— A jak myślisz, czy i my powinniśmy do niego zawołać? — zapytałem.

— Powinniśmy — powiedziała Olga. Tyle wymyśliliśmy i rozmyślaliśmy dalej.

— A jak myślisz, pokaże się? — zapytała Olga.

— Nie wiem — powiedziałem.

Tyle wymyśliliśmy i więcej nic już wy-myśleć nie mogliśmy.

— Wczoraj trzy razy wołaliśmy do niego: „Halo! Czy ktoś tu wołał «Złoteńko!»?” i nie pokazał się — powiedziałem i posmutniałem.

— To prawda. Ciekawe, dlaczego? — powiedziała Olga i posmutniała.

Posmutniawszy, chcieliśmy ponownie się rozweselić. I żeby się rozweselić, zaczęliśmy sobie śpiewać. I właśnie gdy sobie śpiewaliśmy, ścieżką obok płotu przechodził pan Lolo Materia, malarz pokojowy, z pędzlem i drabiną.

Usłyszał nas, zatrzymał się i zawołał:

— Halo, kto to tutaj śpiewa?

A my przestraszyliśmy się, przestaliśmy śpiewać i siedzieliśmy zupełnie cichutko.

Pan Lolo Materia przyłożył oko do szpary w płocie, spojrzął przez szparę i znowu zawołał:

— Halo, kto to tutaj śpiewa?

A my przestraszyliśmy się jeszcze bardziej i siedzieliśmy jeszcze ciszej niż przedtem.

Wtedy pan Lolo Materia położył pędzel na ziemi, drabinę oparł o płot i zaczął po

! drugi

« 125 »

WA?

SPIE

TAJ

TU

drabinie wchodzić na górę, a wchodząc głowa zobaczyła nas i uśmiechnęła się.

tak śpiewał:

A my widząc tę jego uśmiechniętą głowę

przestaliśmy się bać i też się uśmiechnęliśmy.

— To my śpiewamy, panie Lolo Materia — powiedziała Olga.

— I pan też śpiewa — powiedziałem ja.

— No i w porządku. Kto śpiewa, ten serce zagrzewa. Śpiewajcie sobie, i ja też będę — powiedział pan Lolo Materia i zaledwie to powiedział, zniknęła sponad płotu

A gdy skończył śpiewać, był na górze, jego uśmiechnięta głowa, pan Lolo Ma-sponad płotu wystawała jego głowa i ta terla zszedł po drabinie z powrotem, chwy-

/s-

TO

KTO

LO,

— HA

ZŁOTEŃKO

« 126 »

cił drabinę, podniósł z ziemi pędzel i poszedł dalej.

— Już wiem, dlaczego nie pokazał nam się ten, kto wołał do nas „Złoteńko!” — zawołała nagle Olga. — On się nas przestraszył!

— Dlaczego miałby się nas przestraszyć? — zdziwiłem się.

— Ano dlatego — zawołała Olga — że wołaliśmy do niego: „Halo, czy wołał tu ktoś «Złoteńko!»?” A czy i my nie przestraszyliśmy się, gdy pan Lolo Materia wołał do nas: „Halo, kto to tutaj śpiewa?”

Pewnie, że się przestraszyliśmy. I ten, kto wołał „Złoteńko”, przestraszył się. Nie możemy tak do niego wołać, jeśli chcemy, żeby nam się pokazał!

— No dobrze — powiedziałem. — Ale jeśli nie tak, to jak?

— Nie wiem — powiedziała Olga.

— Musimy więc znaleźć kogoś mądrego, kto to wie — powiedziałem.

A ponieważ najmądrzejsi bywają bibliotekarze, wybraliśmy się obydwój do starego bibliotekarza do naszej Biblioteki Miejskiej.

B,

Rozdział trzeci,

w którym dowiesz się o tym, jak

naradzaliśmy się

ze starym bibliotekarzem

biblioteka Miejska znajdowała się przy rynku. Był to dom pełen książek. Było tam tyle książek, że były poukładane nawet na oknach i w Bibliotece Miejskiej bez przerwy panował mrok, bo światło nie miało którędy do niej wchodzić. Ale stary bibliotekarz widział dobrze.

Stary bibliotekarz nie tylko był bardzo mądry, ale miał też bardzo długą brodę.

I tą bardzo długą brodą codziennie wycierał książki, na których osiadł już kurz.

I każdego wieczoru, gdy zamknął Bibliotekę Miejską, szedł na spacer daleko za miasto, ażeby wiatr mu ten wszystek kurz z brody wydmuchał. I wiatr rzeczywiście wydmuchiwał mu z brody każdego wieczoru wszystek kurz, a na miejsce kurzu wdmuchiwał mu w brodę robaczki świętojańskie. A one później przez cały następny

dzień świeciły bibliotekarzowi, tak iż nie przeszkadzał mu mrok w Bibliotece Miejskiej.

Do Biblioteki Miejskiej przychodziło mało ludzi, ale stary bibliotekarz ciągle wycierał książki z kurzu, bo ciągle wierzył, że ktoś przyjdzie. Ale kiedy ja i Olga przyszliśmy do niego, nie było tam oprócz niego nikogo.

— Dzień dobry — powitaliśmy go od progu.

— Coś podobnego — powiedział bibliotekarz. — Co za wizyta! Witajcie, dzieci, i wejdźcie dalej. Czego sobie życzycie? Przyszlście wypożyczyć „Robinsona Crusoe” czy też „Bajkę o rybaku i rybce”?

— Nie przyszlśmy wypożyczyć ani „Robinsona Crusoe”, ani „Bajki o rybaku i rybce”, wujku bibliotekarzu — powiedziała Olga.

Rozdział trzeci

« 127 »

А

&J1HC

\\|I"

i

I

Sili №11

IIII

— My przyszlśmy pana zapytać, czy nie ma pan jakiejś książki, w której moglibyśmy wyczytać, kto woła „Złoteńko” i czy woła tak do nas — powiedziałem.

— A jeśli woła do nas, to jak my mamy wołać do niego, żeby nam się pokazał — powiedzieliśmy oboje.

— Ktoś woła „Złoteńko”? A wam się wydaje, że woła tak do was? Ciekawe! O czymś takim jeszcze nie słyzałem! — powiedział stary bibliotekarz. — I nie wiecie, jak macie do niego wołać, żeby wam

się pokazał? No, zobaczymy, zobaczymy, czy w którejś książce coś o tym jest napisane.

I powiedziawszy to stary bibliotekarz wszedł za wielki regał pełen książek, a zaledwie zań wszedł, już spoza niego wyszedł niosąc pod pachą jakąś starą książkę i powiedział:

— No tak, przejrzałem wszystkie książki i to jest wszystko, co znalazłem. O tym, kto woła „Złoteńko!”, nie jest napisane w żadnej książce, tylko w tej książce, którą na-

ZŁOTENKO

« 128 »

piisał poeta Erben, a która nazywa się „Wiązanka”, jest napisane tak:

a zlatousky na stenu tomu, kdo se post i.

To po czesku. A oznacza to, że ten, kto pości, ujrzy na ścianie złote prosiaczki. Złoty prosiaczek po czesku nazywa się zlatousek. Czy to wam choć trochę pomogło?

— Bynajmniej — powiedzieliśmy ze smutkiem. — Co nam po tym, że złoty prosiaczek po czesku nazywa się zlatousek, skoro nie wiemy, kto do nas woła „Złoteńko”.

— Hm — zamyślił się stary bibliotekarz. — A jeśli do was woła właśnie on?

— Jaki on? — zdziwiliśmy się.

— No przecież on, złoty prosiaczek! — zawołał stary bibliotekarz. — Kiedy tak się nad tym zastanawiam, myślę sobie, że Zlatousek i Złoteńko to może być to samo. A to oznacza, że Złoteńko jest właściwie złotym prosiaczkiem. I ten złoty prosiaczek chce z wami zawrzeć znajomość. A ten, kto chce z kimś zawrzeć znajomość, musi się najpierw przedstawić. A przedstawiamy się w ten sposób, że wymawiamy swoje imię. A więc i ten złoty prosiaczek przedstawia się wam wymawiając swoje imię. I oczekuje, że wy też mu się przedstawicie, że wy też powiecie mu swoje imiona. Czy już mu je, dzieci, powiedziałyście?

— Jeszcze nie — pokręciliśmy głowami.

— Ajajaj! Co za nieuprzejmość z waszej strony! — zachmurzył się bibliotekarz. — Ale nic to, wszystko da się jeszcze naprawić. Kiedy złoty prosiaczek znowu będzie wam się przedstawiał, nie zwlekając przedstawcie mu się także.

ш

етыы

!."> •йт.,,iad!№Ж
««^ШЕр^^^ШР2

Rozdział trzeci

« 129 »

— I on nam się potem pokaże? — zawołaliśmy.

— Hm, z tym będzie chyba gorzej — powiedział stary bibliotekarz. — Mówiłem wam przecież, że złoty prosiaczek nie ukazuje się każdemu i w każdej chwili. Ale jeśli będziecie przez cały dzień pościć, to wam się ten złoty prosiaczek pokaże. Wieczorem, na ścianie. Tak przynajmniej myślę.

I powiedziawszy to stary bibliotekarz chwycił znowu do ręki swoją długą brodę i zabrał się do wycierania książek.

A my pożegnaliśmy się i wyszliśmy.

I akurat gdy wychodziliśmy z bramy Biblioteki Miejskiej na ulicę, akurat gdy ja miałem już prawą nogę na ulicy, a lewą jeszcze za bramą, a Olga miała już lewą nogę na ulicy, a prawą jeszcze za bramą, naraz, nie wiadomo skąd i gdzie, rozległo się całkiem blisko wołanie:

— Złoteńko!

— Bardzo mi miło, mam na imię Olga — szybko powiedziała swoje imię Olga.

— A ja Lubomir — szybko powiedziałem swoje imię również ja.

I oboje zawołaliśmy:

— Teraz, skoro już zawarliśmy znajomość, powiedz nam, Złoteńko, czego sobie życzysz? Ale Złoteńko nie powiedziało już nic.

Lecz ja i moja najlepsza koleżanka Olga nie smuciliśmy się już z tego powodu, bo pomyśleliśmy, że Złoteńko chce, żebyśmy je najpierw zobaczyli, a dopiero potem wda się z nami w rozmowę. A zobaczyć Złoteńko teraz, gdy już wiemy, że właściwie jest złotym prosiaczkiem, nie będzie nam wcale trudno. Jutro będziemy pościć przez cały dzień i zobaczymy je! Więc oboje zawołaliśmy:

— Do zobaczenia, Złoteńko, jutro wieczorem na ścianie!

Na

Rozdział czwarty,

z którego dowiesz się niewiele

la próżno jednak następnego dnia pościliśmy. Złoteńko wieczorem na ścianie się nie ukazało. Przez cały dzień siedzieliśmy głodni na łące i patrzyliśmy, jak na niebie podnosi się słońce. A w miarę, jak słońce się podnosiło, na niebie przybywało obłoczków. A gdy się tym obłoczkom uważniej przypatrzyliśmy, wydały nam się jakieś znajome.

— Ach — zawołała Olga. — Przecież ten jeden, to jest obłoczek z garnka mojej mamusi!

— Ach, a ten drugi z garnka mojej! — zawołałem.

I do ust zaczęła nam napływać ślina,

i bardzo nam się chciało pójść do domu na obiad. Ale wytrzymaliśmy, nie poszliśmy na obiad. Pościliśmy, pościli i wszystko na próżno. Złoteńko wieczorem nie ukazało się na ścianie.

A gdy już tej nocy oboje, każde w innym domu, w innym pokoju, w innym łóżku i pod inną kołdrą zasnęliśmy, naraz, nie wiadomo skąd i gdzie, rozległo się przy nas obojgu w tej samej chwili tuż przy uszach wołanie:

— Złoteńko!

Ale my już oboje spaliliśmy tak mocno, że tego wołania w ogóle nie słyszeliśmy.

Nawet nam się ono nie śniło.

ZŁOTEŃKO

« 130 »

Rozdział piąty,

w którym dowiesz się,
jak po raz drugi naradzaliśmy się
ze starym bibliotekarzem
Ozukaliśmy więc dalej tego Złoteńka.
Złoteńko wołało do nas codziennie przynajmniej raz.
Ale zdarzało się, że i dwa, i trzy razy.
Ba, pewnego dnia zdarzyło się, że zawołało do nas trzydzieści sześć razy pod rząd, a potem
jeszcze pięć razy w godzinę później.
Ale nigdy nie powiedziało innego słowa niż „Złoteńko”.
Na próżno je zagadywaliśmy.
Nigdy się nie pokazało.
A pewnego razu powiedziała mi moja najlepsza koleżanka Olga, że następnego dnia
przeprowadzają się do innego miasta. I oboje zamyśliliśmy się nad tym.
Cóż będzie Olga robiła sama w innym mieście? Kto wie, czy zawoła tam do niej jeszcze
kiedyś Złoteńko! Przecież Złoteńko woła tylko w naszym mieście. Gdyby wołało także w
innych miastach, na pewno napisano by o tym w jakiejś książce. A w żadnej książce o tym nie
napisano.
A coż ja będę robił sam w tym mieście? Kto wie, czy kiedy zostanę tu sam, Złoteńko nie
przestanie wołać także do mnie? Przecież wołało do nas zawsze tylko wtedy, gdy ja i moja
najlepsza koleżanka Olga byliśmy razem!
Gdybyż to Złoteńko przynajmniej raz nam się pokazało! Gdybyż ukazało nam się, zanim
Olga się wyprowadzi, bo potem zapewne już nam się nie ukáže!
Ale jak mu powiedzieć, że Olga się wyprowadza? Skoro się nie pokazuje, na pewno jeszcze o
tym nie wie.
Postanowiliśmy zatem jeszcze raz poprosić o radę starego bibliotekarza.
I wybraliśmy się ponownie do Biblioteki Miejskiej.
Przyszliśmy pod Bibliotekę Miejską, nacisnęliśmy klamkę u bramy — było zamknięte.
Nacisnęliśmy znowu, żeby sprawdzić, czy nam się tylko nie wydaje.
— Popchnijmy — powiedziała Olga. — Może drzwi ciężko się otwierają.
Popchnęliśmy, ale na próżno. Było naprawdę zamknięte.
— Spójrz — powiedziałem, gdyż byłem odrobinę wyższy od Olgi. — Spójrz, co
zauważyłem na drzwiach.
Na drzwiach było wielkie ogłoszenie, w którym było napisane:
Z POWODU MALOWANIA BIBLIOTEKA DZISIAJ ZAMKNIĘTA
— Kiedy jest to DZISIAJ? — zapytała Olga. — Czy to ogłoszenie było tu już wczoraj?
— Nie — powiedziałem. — Wczoraj tego ogłoszenia tu nie było. DZISIAJ jest dzisiaj.
— To rzeczywiście ładnie z waszej strony, że wczoraj przechodziliście tędy i nawet mnie nie
odwiedziliście — dał się słyszeć nad nami znajomy głos i naraz przestaliśmy cokolwiek
widzieć.
— Dlaczego nic nie widzimy? Czy to już wieczór? — zapytała Olga nie mając odwagi
nawet się poruszyć.
Rozdział piąty
« 131 »
— Nie wiem, jeszcze nie powinien być wieczór. A jednak to wokół nas wygląda jak
ciemność — powiedziałem, też nie mając odwagi nawet się poruszyć.
— Popatrz, przecież widać gwiazdy, to chyba ciemność! — powiedziała Olga.
— Rzeczywiście widać gwiazdy — powiedziałem. — Ale ciemność przecież nie jest taka
kosmata.
— Może tak wygląda ciemność z bliska. Widziałeś już ciemność z bliska? — powiedziała
Olga.

— Nie, jeszcze nie widziałem — powiedziałem.

— No widzisz! Może ciemność z bliska jest jednak taka kosmata, żeby gwiazdom było mięciutko! — powiedziała Olga, wyciągnęła rękę i pociągnęła ciemność.

Ciemność pozwoliła się pociągnąć, potem jednak szarpnęła się i powiedziała:

— I jeszcze w dodatku będą mnie ciągnąć za brodę!

I wtedy spojrzeliśmy w górę i zobaczyliśmy, że nad nami stoi stary bibliotekarz, a przed naszymi oczami zwisa jego broda, pełna robaczek świętojańskich, gdyż stary bibliotekarz wracał właśnie ze spaceru. A nam wydało się, że te robaczki świętojańskie to gwiazdy.

— Dobry wieczór — powiedzieliśmy zgodnie.

— Jaki wieczór, jeszcze jest dzień — powiedział stary bibliotekarz zabierając sprzed naszych oczu swoją brodę.

I zobaczyliśmy, że rzeczywiście jest jeszcze dzień.

— Dzień dobry — poprawiliśmy się.

— Dzień dobry, dzieci — powiedział stary bibliotekarz. — No i co, znaleźliście już swoje Złoteńko?

— Nie znaleźliśmy — powiedzieliśmy. — I już go chyba nie znajdziemy.

— A to dlaczego? — zapytał stary bibliotekarz.

— Dlatego, że Olga jutro wyjedzie do innego miasta. A gdy wyjedzie, nie będziemy już przebywać razem. A gdy nie będziemy przebywać razem, Złoteńko do żadnego z nas już nie zawoła, bo ono do nas wołało tylko wtedy, gdy byliśmy razem! — powiedziałem.

A Olga powiedziała:

— Cieszylibyśmy się, gdyby nam się przynajmniej raz ukazało, zanim wyjadę! Wtedy, gdy pościliśmy, nie ukazało nam się. Proszę poradzić nam, wujku bibliotekarzu, co powinniśmy zrobić, żeby Złoteńko nam się pokazało!

— Hm, hm — zastanowił się stary bibliotekarz. — Powiem wam prawdę, moje dzieci, ja o tym Złoteńku nic nie wiem. Mogę wam tylko poradzić, żebyście byli cierpliwi. Nawet jeśli Złoteńko nie ukazało wam się dzisiaj, może ukaże się jutro, a jeśli nie jutro, to może pojutrze. Cieszcie się, że słyszycie przynajmniej jego wołanie. Nie każdy takie wołanie słyszy. Ja na przykład nie. I doprawdy byłbym zupełnie szczęśliwy, gdybym choć jeden raz usłyszał jego wołanie, zadowolilibym się tym, może nawet nie pragnąłbym go widzieć.

— Oj, pragnąłby pan, wujku bibliotekarzu! Gdyby pan je usłyszał, na pewno pragnąłby pan także je zobaczyć! — zawołaliśmy oboje.

— No cóż, skoro bym pragnął, to bym pragnął, nie będę się spierał — powiedział stary bibliotekarz. — Ale gdzie jest napisane, że wy go już nigdy nie zobaczycie? Możliwe, że ukaże się każdemu z osobna, każdemu z was w innym mieście!

— Ach, gdyby nawet — zawołaliśmy. — Ale gdy go nie zobaczymy razem, to już nie będzie takie piękne!

« 132 »

— To święta prawda — powiedział brodzie, gdyż stary bibliotekarz na zakończenie tą brodą mocno potrząsnął. A to stary bibliotekarz. — Zawsze to, co widzi dwoje, jest piękniejsze od tego, co widzi tylko jedno. Ale przecież — gdzie jest napisane, że wy dwoje nie będziecie już nigdy razem? Nawet jeśli każde z was będzie mieszkało w innym mieście. Nie zapomnijcie o sobie. Możecie do siebie pisać. Możecie się odwiedzać. A kto wie, czy za jakiś czas nie przeprowadzicie się znowu i czy nie będziecie znowu mieszkać w jednym mieście? Tak, tak.

— Wtedy, gdy stary bibliotekarz na zakończenie tą brodą mocno potrząsnął. A to dzwonienie latarenek robaczek świętojańskich nie było takim zwyczajnym dzwonieniem, była to dzwoniąca muzyka. A kto wsłuchał się w tę dzwoniącą muzykę, ten zupełnie wyraźnie słyszał, że ta muzyka opowiada o tym, jak to pewnemu staremu bibliotekarzowi przed wielu laty umarła żona, którą bardzo kochał, i jak ten stary bibliotekarz wierzył, że ta jego żona nie zniknęła, tylko przemieniła się w milion

A gdy stary bibliotekarz to powiedział, światełek, które fruwały z wiatrem jak coś zaczęło dzwonić, a to dzwoniły latarobaczki świętojańskie i dlatego ten stary renkami robaczki świętojańskie w jego bibliotekarz, podobnie jak ten nasz, każdego

Rozdział piąty
« 133 »

wieczoru spacerował pod gwiazdami nadstawiając swoją brodę wiatrowi, bo chciał z niego wychwycić jak najwięcej tych światełek ze swojej żony, a może wierzył, że kiedyś uda mu się z tych światełek złożyć ją znowu całą. A gdy broda tego naszego bibliotekarza przestała się trząść i muzyka latarenek robaczek świętojańskich umilkła, naraz, nie wiadomo skąd i gdzie, rozległo się całkiem blisko wołanie:

— Złoteńko! I drugie Złoteńko! I trzecie Złoteńko! Trzy Złoteńka!

— Złoteńko woła — wykrzyknęła Olga. — I to jak długo! Jeszcze nigdy tak długo nie wołało i tak dużo nie powiedziało!

— I pokazuje się! — wykrzyknąłem. — O, tam na górze, w tym oknie biblioteki się pokazuje!

— Ależ nie — uśmiechnął się stary bibliotekarz. — To nie jest to wasze Złoteńko. To pan Lolo Materia, malarz pokojowy. Z niego jest stary kpiarz, słyszał nas przez okno. Spojrzeliśmy w górę i rzeczywiście w oknie na drabinie stał tam pan Lolo Materia z pędzlem, głowę wystawił przez okno i uśmiechał się, i cały był pochłapany złotą farbą, że wyglądał jak niebo usiane gwiazdkami.

— Jak się posuwa praca, panie Lolo Materia? — zapytał stary bibliotekarz. — Czy będę mógł jutro ponownie otworzyć bibliotekę?

— I tak nikt tu do pana nie przychodzi — powiedział pan Lolo Materia.

— Jak to nie przychodzi — powiedział stary bibliotekarz. — A tych dwoje dzieci, to nikt? Chciały mnie dziś odwiedzić i o mało sobie nie poszły, bo z powodu malowania jest zamknięte.

— Skoro tak, to się pośpieszę — powiedział pan Lolo Materia.

— Pomogę panu — powiedział stary bibliotekarz. — I tak nie mam co robić.

— Nie będziemy pana zatrzymywać — powiedzieliśmy. — Do widzenia.

I odeszliśmy, a stary bibliotekarz wołał za nami:

— Tylko nie zapomnijcie, dzieci, o tym, co wam powiedziałem!

Rozdział szósty i ostatni,

w którym dowiesz się o tym, jak zegnaliśmy się ja i moja najlepsza koleżanka Olga, i jak obiecaliśmy sobie, że nadal będziemy szukać Złoteńka

oto przyszedł następny dzień, dzień, jednego robaczka świętojańskiego. A po-

I w którym rodzice Olgi, a z nimi także Olga, mieli wyprowadzić się do innego miasta. Przed ich domem zatrzymał się wielki prze-prowadzkowy samochód, w którym panowała ciemność jak w brodzie bibliotekarza, a nawet większa, bo w tej ciemności przetem pięciu silnych mężczyzn w prążkowanych trykotowych koszulkach zaczęło wynosić rzeczy z domu. Niektóre rzeczy niósł jeden, niektóre dwaj, niektóre trzej, niektóre cztery. Kiedy trzej nieśli fortepian, ten czwarty szedł obok nich i grał.

prowadzkowego samochodu nie było ani W pięciu nie nieśli niczego. Wszystko było

ZŁOTEŃKO

« 134 »

takie lekkie, że unieśli we czterech. Pięciu naraz poszło dopiero, gdy już dom był pusty. Poszli, zobaczyli, że jest pusty, wrócili i powiedzieli:

— Gotowe!

Potem usiedli w ogrodzie na ławeczce pod bzem i mamusia Olgi krajała im chleb, a tatuś Olgi nalewał im piwo, a bez owiewał ich swoim zapachem.

Ja też byłem tam od samego początku, ażeby być przy wszystkim obecny.

Pomagaliśmy z Olgą w załadunku.

Kiedy ładowaliśmy mały stolik, zostawiono nas w spokoju, kiedy chcieliśmy załadować duży stół, przepędzono nas.

A teraz wszystko było już załadowane, a my z Olgą wzięliśmy się za ręce i weszliśmy do pustego domu. Już wtedy, gdy go opróżniano, zauważyliśmy, że im więcej z niego wynoszono, tym było tego domu mniej, a im było go mniej, tym większy nam się wydawał. A teraz, gdy było go zupełnie mało, wydał się nam zupełnie wielki, wydał nam się taki wielki, że można by było w nim zabłądzić i rozpląkać się.

— Boję się — powiedziała Olga.

— Trzymaj się mnie — powiedziałem. — Ja też się trochę boję.

— No to i ty dobrze się mnie trzymaj — powiedziała Olga.

A przecież nie było jeszcze tego domu zupełnie mało, ani też nie był zupełnie wielki, bo na podłodze stały jeszcze dwie walizki i jedna torba, i byliśmy w nim także my, ja i moja najlepsza koleżanka Olga.

— Jakżeby to było wspaniale, gdybyśmy teraz, w tej ostatniej chwili, znaleźli Złoteńko.

Przez cały czas, gdy wynosili, myślałam o tym, czy nie leży gdzieś pod czymś zapodziane i czy się czasem nie pojawi — powiedziała Olga.

Rozdział szc

— Ja też o tym myślałem przez cały czas — powiedziałem do Olgi. — Patrzyłem wszędzie.

— Ale nie pojawiło się. Pojawiła się tylko jedna lalka, która mi zginęła dwa lata temu i bardzo ją opłakiwałam. Jak myślisz, czy ona mogła być Złoteńkiem? — zapytała Olga.

— Nie wiem — powiedziałem. — Wołała?

— Nie, nie wołała — powiedziała Olga.

— No więc nie możemy uważać, że to ona mogła być Złoteńkiem — powiedziałem.

— Ale nie wolno nam też uważać, że ona nie mogła być Złoteńkiem — powiedziała Olga.

— Bo nie wiemy tego na pewno. Więc żebyśmy jej nie skrzywdzili.

— Nie, tego nam też nie wolno — powiedziałem. — Ale naprawdę, powiedz, gdzie ono może być?

— I dlaczego teraz nie woła? — powiedziała Olga.

— Rzeczywiście, w ogóle nie woła. To dziwne — powiedziałem. — Akurat teraz nie woła!

— Może biedne Złoteńko jest przyciśnięte czymś ciężkim i nie może zawołać, a chciałoby — powiedziała Olga.

— Ale czym — powiedziałem — skoro tu nic już nie ma?

I wtedy oboje jednocześnie spojrzeliśmy na te dwie walizki i jedną torbę, które jeszcze tu stały.

Podniosłem jedną walizkę, zajrzeliśmy pod nią, Złoteńko nie zawołało, Złoteńka pod walizką nie było.

Olga podniosła drugą walizkę, zajrzeliśmy pod nią, Złoteńko nie zawołało, Złoteńka pod walizką nie było.

I oboje chwyciliśmy torbę, każde za jedno ucho, podnieśliśmy ją i zajrzeliśmy pod

~ty i ostatni

« 135 »

nią. Złoteńko nie zawołało, Złoteńka pod nią nie było.

Staliśmy trzymając torbę, każde za jedno ucho.

— Tak chodziliśmy razem na zakupy — powiedziała Olga.

— Tak — powiedziałem.

— Gdyby Złoteńko można było kupić — powiedziała Olga.

- Ciekawe, ile mogłoby kosztować — powiedziałem.
- Jak myślisz, czy jest ciężkie? — spytała Olga.
- Nie wiem. Przecież nie wiemy nawet, jak wygląda. Czy to jest chrząszcz, czy przedmiot — powiedziałem.
- Ono jest złote — powiedziała Olga.
- Dobrze, że wiemy o nim przynajmniej tyle — powiedziałem.
- I nawet to nie jest pewne — powiedziała Olga. — W sąsiednim domu mieszka pewna pani, która nazywa się Amelia Czerwona. I jest błada!
- To prawda, nawet i to, że Złoteńko jest złote, nie jest właściwie pewne — powiedziałem.

ZŁOTENKO

« 136 »

- No i co na to poradzimy? — powiedziała Olga.
- Co poradzimy? — powiedziałem. Naraz wszedł tatuś Olgi, a za nim mamusia Olgi, i powiedzieli:

— Dzieci, musicie się pożegnać.

— Jeszcze nie — powiedzieliśmy. — Jeszcze pójdziemy razem na dworzec.

Wziął więc tatuś Olgi jedną walizkę, mamusia Olgi drugą, a my wzięliśmy torbę, każde za jedno ucho, i poszliśmy na dworzec.

I kiedy tak szliśmy, wszyscy obejrzelśmy się, a potem szliśmy dalej i już się nie obejrzelśmy i tylko bez pachniał za nami z ogrodu, tak mocno pachniał, że dopachniał aż do dworca.

Przyszedł pociąg i wydmuchnął parę:

— Fffffffuu! Idź do domu, bzie! A bez pachniał.

— Fffffffuu! Idź do domu, bzie! A bez pachniał.

I pociąg dmuchnął po raz trzeci. I dyżurny ruchu powiedział:

— Proszę wsiadać!

— Gdyby przynajmniej teraz zawołało i pokazało się — powiedziała Olga. — Złoteńko! Kochane Złoteńko!

— Złoteńko! Kochane Złoteńko! — powiedziałem. — Nie znikaj na zawsze! Odezwij się! Pokaż się!

Ale Złoteńko nie zawołało, Złoteńko nie pokazało się.

I już musieli szybko wsiadać i drzwi zamykały się, a tatuś Olgi chciał opuścić okno, ale mu się to nie udało, okno było zepsute, i pociąg ruszył. I wtem, nie wiadomo skąd i gdzie, rozległo się całkiem blisko wołanie:

— Zło-teń-ko, Zło-teń-ko, Złoteeńko!

— Woła — krzyknąłem. — Olgo, słyszysz?

A wtedy tatusiowi Olgi udało się otworzyć inne okno i podniósł Olgę do okna.

— Złoteńko woła! — krzyknęła Olga.

— Ono jest w pociągu! Może się nawet pokazuje! Rozejrzyj się, przynajmniej ty je zobaczysz! — wołałem.

— Nie, ono jest na stacji! Rozejrzyj się, przynajmniej ty je zobaczysz! — wołała Olga i nie rozejrzała się.

Ja też się nie rozejrzałem.

Może dlatego, że nawet stary bibliotekarz powiedział, że to, co widzi tylko jedno, nie może być już takie piękne, jak to, co widzi dwoje.

A może dlatego, że patrzyłem za Olgą i Olga patrzyła za mną.

Ale przede wszystkim dlatego, że już zdążyłem ukradkiem się rozejrzeć i żadnego Złoteńka nigdzie nie zobaczyłem, i Olga też zdążyła już ukradkiem się rozejrzeć, i ona też żadnego Złoteńka nigdzie nie zobaczyła. Wołałem więc:

— Będziemy go szukać nadal, prawda? A Olga wołała:

— Kiedyś je znajdziemy, no nie? A Złoteńko wołało:

— ZŁOTEŃKO!

*«&

Rozdział szósty i ostatni

« 137 »

Spis treści

Bajka wstępna

o tym, dlaczego ta książka nazywa się
„Błękitna księga bajek”

5

BAJKI ZWIERZĘCE O rybie Rebecce

12

O wężu Wirginiuszu

15

O niedźwiedziu Medardzie

18

O kaczce Kaśce

24

O komarze Waldemarze

27

O kocurze Kacprze

30

O bocianie Bonifacym

32

O motylu Otylii

35

O wróblu Wawrzyńcu

36

O motylu Otylii i wróblu Wawrzyńcu

38

O psie Achillesie

41

BAJKI NA NITCE

O zaraźliwym słowie

46

O brzydkiej królownie

50

O powolnym sprzedawcy

55

O baśniowej nici

59

BAJKI O NAS

Bajka bez głowy

66

Co malowała Olga

67

Trzy bajki o zębach 69

Bajka o pierwszym wrzeźnia Bajka dla Łubki

79

Sto lalek Oleńki	
80	
Podarta bajka	
82	
RÓŻNE BAJKI Z życia luster	
86	
Baron bas Baryton	
88	
Jak Pajacyk miał słonia	
91	
Bajka ze śmietniska	
95	
Zaginiona królewna	
99	
Czarodziej i kwiaciarka	
105	
Meluzyna Józefina	
108	
O chodzącej chałupie	
113	
Najpiękniejsza bajka na świecie	116

ZŁOTENKO

Rozdział pierwszy	
120	
Rozdział drugi	
122	
Rozdział trzeci	
127	
Rozdział czwarty	
130	
Rozdział piąty	
131	
Rozdział szósty i ostatni	
134	

W roku 1976 „Błękitna księga bajek” została wpisana na Honorową listę im. J. Ch. Andersena

■ ■ i

Lubomir Feldek

BŁĘKITNA KSIĘGA BAJEK

Przełożyła Ewa Kraszewska Ilustrował Albin Brunovsky

Symbol 32545/L Wydanie I. Ark. wyd. 11,1. Ark. druk. 16,0.

Nakład 80 000 + 350 egz. U-14

Printed in Czechoslovakia